



DATA WYDANIA 26.11.2010 R.

## WSTĘPNIAK

Witamy Was w kolejnym numerze naszej gazetki. Cieszymy się, że wracamy po nieco dłuższej niż zwykle przerwie. Wybraliśmy może ku temu zły moment - teraz wszyscy zaabsorbowani jesteście oglądaniem świątecznych reklam, a do czytelnicy przychodzicie może tylko po to, by znaleźć prezenty dla swoich bliskich. Tak czy inaczej...

W najnowszym numerze znajdziecie jak zwykle dział „Z życia szkoły”, w tym numerze trochę dłuższy niż poprzednio, później „Felietony, „Recenzje/Sylwetki”, a na koniec „Twórczość własna”. Widzimy wzrost zainteresowania, ponieważ w tym miesiącu otrzymaliśmy więcej artykułów niż w poprzednim i to sprawia nam przyjemność:)

(Oby) miłego czytania!

Redakcja

# W tym numerze

Wstępniak 1

## Z życia szkoły

Szymon Hołownia gościem V Płońskich Zaduszek Muzycznych	3-4
Dzień Patrona (gimnazjum)	5-6
Dzień Patrona (liceum)	6-7
Połowinki	7-9
Powrót do przeszłości – wspomnienie spektaklu	10-15
Romeo i Julia – recenzja	16-17

## Felietony

Kiedy myślę Ojczyzna	18-19
Słowo od bogatych do biednych	19-20
Władca wszystkiego	20-21

## Recenzje/sylwetki

Dziecinna zabawa czy może coś więcej	21-23
Jak to Machalica śpiewał	23-24
Machalica. Głos drugi	24-27
Wielkie mechy w okowach formy	27-28
Bastion	29-30
Cień wiatru	31
Pasja	32
Incepcja	33

## Twórczość własna

Barok	34
Głuchy	35
Płaszcz i okulary	35-37

## Szymon Hołownia gościem V Płońskich Zaduszek Muzycznych

Znany dziennikarz był gościem V Płońskich Zaduszek Muzycznych – uroczystości, w której płońszczanie wspominają, oddają pamięć tym, którzy odeszli. Jedynym zmarłym człowiekiem wymienionym z imienia i nazwiska był ks. Mirosław Tabaka. Cały program wydarzenia opierał się na wykonaniach muzycznych przygotowanych przez szkołę Nutkę oraz czytaniach, z których każde skupiało się na śmierci innej osoby: dziecka, rodzica, artysty, wreszcie obywatela. Dzięki takiemu podziałowi żaden z widzów nie czuł się pominięty, każdy uczestniczył, chociażby myślał, w uroczystości.

Oprawa artystyczna nie wzbudziła we mnie szczególnych zachwytów, być może dlatego, że oglądałam wszystko zza kurtyny (hmm... widziałam też próbę). Z drugiej strony nie wiem, co byłoby odpowiednie dla takiej atmosfery, dla tak smutnego święta. Mnie osobście nie do końca przekonywało ani spacerowanie po scenie z krzyżem, ani zwiewne, białe szaty (duchy?), ani balet... Czy ładnie śpiewali? No... ładnie, ale jakoś tak nic nie potrafiło mnie chwycić za serce. Nie chcę tu absolutnie siać zwątpienia dotyczącego zdolności tych wszystkich młodych artystów, czy zasadności takiego wydarzenia, zawsze przyjemnie po-

dziwiać talenty, które posiadają występujący wokaliści i tancerze, ale mam mocno mieszane uczucia co do całej organizacji przedsięwzięcia. Miałam wrażenie, że umknęła wszystkim ta prawdziwa atmosfera, która towarzyszy śmierci, za dużo tu było niebiańskości, a zabrakło miejsca dla osób najważniejszych w tym dniu, dla zmarłych.

Możliwe, że przesadzam, że tak właśnie powinny wyglądać tego typu uroczystości. Przyznaję, nie wyobrażam sobie, jak mogłoby to inaczej wyglądać (bez dymu?). Może najlepiej charakter tego święta oddałaby pusta scena? Wielu się wzruszyło, wielu pomyślało o swych bliskich, więc nie będę odbierać rangi temu wydarzeniu.

Najlepszym występem, moim zdaniem, uraczył publiczność Szymon Hołownia. Mimo że z kilkoma kwestiami bym się z nim nie zgodziła, urokiem osobistym, skromnością, a przede wszystkim rzeczowością swojego wykładu, sprawił, że słuchałam go z ogromną ciekawością, zainteresowaniem. Podobało mi się, że wiedział, co chce przekazać odbiorcom, że sposób, w jaki mówił, daleki był patosowi, niepotrzebnemu uwznioślaniu. Zaskoczyło mnie, że pracował kiedyś jako ratownik pogotowia, zresztą to

chyba też wpłynęło na jego podejście do śmierci, której – nie traktował jak największego nieszczęścia, cudownej tragedii, najwyższego z mistycznych uczuć, ale też nie umniejszał jej, nie zaliczył do spraw prozaicznych, przyziemnych. Mówił, że powinniśmy pamiętać o tym, że umrzemy – nie po to, by rozpaczać, roztkliwiać się nad swoim męczeństwem, ale po to, by towarzyszyła nam refleksja nad tym, co robimy, że to, co robimy, będzie miało wpływ na to, co spotka nas po śmierci. Świadomość śmierci ma nam pomóc przejść właściwie przez życie, zapobiegać pewnym głupotom, błędom, które popełniamy. Wskazywał na grzechy, które wydają się nam nieszkodliwe dla nikogo: czytanie plotkarskich gazet, tabloidów, które potrafią zniszczyć komuś życie, odwiedzanie stron pornograficznych, gdzie być może zagubiona dziewczyna sprzedaje samą siebie a my to kupujemy.

Podczas wszystkich występów wzruszyłam się tylko raz – kiedy Hołownia opisywał wypadek, w którym opatrywał ciężko ranną kobietę. Czekali na pogotowie i mężczyzna zaczął z nią rozmawiać, właściwie, głównie ona opowiadała o całym swoim życiu. Kiedy pogotowie przyjechało, zapytała, czy Szymon z nią pojedzie, on tłumaczył, że nie ma miejsca w

## Z życia szkoły

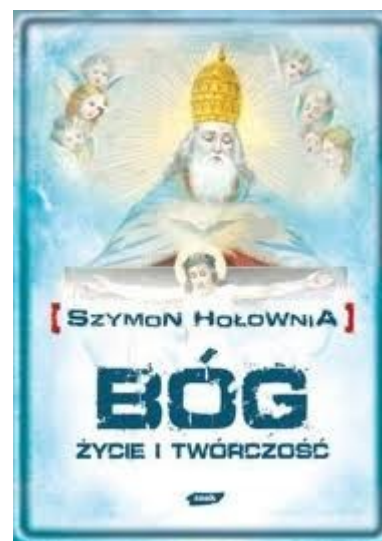
ambulansie, że będzie przeszkadzał – kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem i odjechała. Dziennikarz uważa, że zrobił najgłępszą rzecz w swoim życiu – zostawił umierającą kobietę. Do dziś nie wie czy kobieta przeżyła a najgorsze, co można zrobić, to zostawić umierającego człowieka samego, który – w tym momencie bezbronny, bezradny – potrzebuje obecności drugiej osoby.

Publicysta odwoływał się też do absolutyzmu, jego zdaniem (kontrowersyjnym) to, co jest białe jest białe, a to, co czarne – czarne. Bez względu na to czy jeden uważa to za niebieskie, drugi za czerwone a inny za zielone – pozostanie to takim, jakim jest. Wyklucza relatywność czynów i zgodnie z dogmatami chrześcijańskimi jest to właściwe, jednak zgłębiając temat, jesteśmy tylko ludźmi – możemy się pomylić co do absolutów, ktoś kiedyś mógł przyjąć nieprawidłowe założenie i buch! Upada dotychczas wyznawana prawda i dzięki

relatywizmowi, nowemu spojrzeniu przychodzi inna, odpowiedniejsza. Poza tym, Hołownia nie wyczerpał tematu nieszczęść, które nas dotykają. Zwrócił słuszną uwagę, że w tragediach upatrujemy winy Boga, zamiast skupić się na tym, co sami moglibyśmy zrobić, by uniknąć jakiejś masakry, by zminimalizować jej skutki, jednak na postawione pytanie: dlaczego Bóg nas tak doświadcza?, nie odpowiedział bezpośrednio. Za podsumowanie całego monologu można uznać stwierdzenie dotyczące wiedzy o istnieniu Boga: Nie wiem, ale wierzę, bo religia to nie nauka, ale właśnie wiara.

Kończąc artykuł, chciałabym powiedzieć, że takie uroczystości, niesłusznie nazywane imprezami muzycznymi, są naprawdę wartościową ideą, stanowią o naszej płońskiej wrażliwości i pomimo kilku wątpliwości co do przygotowania całego koncertu, cieszę się, że mogłam brać w tym udział.

*Anna Pałac*



## Dzień Patrona (gimnazjum)

Dnia 9 listopada 2010 roku w naszej szkole odbyło się wiele bardzo ważnych i wyjątkowych uroczystości. Tego dnia Powiatowe Gimnazjum Publiczne obchodziło swoje dziesięciolecie. Dotychczas jedynie I Liceum Ogólnokształcące nosiło imię Henryka Sienkiewicza. Biorąc pod uwagę jubileusz, podjęto decyzję, aby nadać imię tego zacnego polskiego powieściopisarza również gimnazjum. Z tej okazji został ufundowany też nowy sztandar szkoły.

Uroczystości rozpoczęły się przemarszem ulicą Płocką i mszą św. o godzinie 10.30 w kościele Św. Michała Archanioła. Tam został poświęcony nowy sztandar. Po godzinnej mszy wróciliśmy do szkoły i druga część uroczystości odbyła się w auli szkolnej. Na początku nastąpiło przywitanie gości takich jak między innymi Pani Barbara Wachowicz, pisarka oraz Anna Sienkiewicz, prawnuczka Henryka Sienkiewicza, starosta powiatu płońskiego Jan Mączewski, wicestarosta Andrzej Stolpa, burmistrz miasta Płońsk Andrzej Pietrasik. Z okazji nadania imienia Powiatowemu Gimnazjum Publicznemu zostali zaproszeni również uczniowie, którzy mieli okazję być pierwszym rocznikiem uczącym się w tej szkole.

Po przywitaniu gości, dyrektor gimnazjum i liceum pan Ryszard Buczyński opowiadał o powstaniu i historii Powiatowego Gimnazjum Publicznego. Po bardzo interesującej przemowie dyrektora szkoły odbyło się oficjalne odczytanie aktu nadania imienia szkole przez przewodniczącego Rady Powiatu Płońskiego Kazimierza Dąbkowskiego.

Następnie odbyło się przysłowiowe „wbicie gwoździ” przez fundatorów sztandaru. Każdy z fundatorów został wyczytany przez prowadzącą uroczystość panią Justynę Sarzalską i poproszony o podpisanie aktu fundacji sztandaru szkoły oraz o symboliczne wbicie gwoźdźcia w jego drzewiec. W ramach podziękowań szkoła podarowała osobom fundującym nowy sztandar okolicznościowe książki o Powiatowym Gimnazjum Publicznym, a ich nazwiska zostały uwiecznione na drzewcu. Później nastąpiło uroczyste przekazanie sztandaru.

Następnym punktem uroczystości było ślubowanie uczniów szkoły. Kiedy uczniowie skończyli ślubowanie, przyszedł czas na wystąpienia zaproszonych gości, następnie na scenę wyszła pani Barbara Wachowicz. Wygłosiła ona swoją gawędę już o patronie także Powiatowego Gimna-

zjum Publicznego. Przemowa znawczyni twórczości i życia Henryka Sienkiewicza była bardzo ciekawa i interesująca. Po pewnym czasie pani Barbara Wachowicz zaprosiła na scenę prawnuczkę Henryka Sienkiewicza, Annę Sienkiewicz. Rozmawiała ona z nią o dworcu w Oblęgorku, o jej rodzinie i licznych wzajemnych spotkaniach. Pisarka pytała również o kilka kwestii publicznych. Rozmowa pani Barbary Wachowicz z prawnuczką Henryka Sienkiewicza zdecydowanie zaciekała zgromadzonych na sali gości i uczniów szkoły.

Ostatnim punktem uroczystości było rozstrzygnięcie konkursu pt. „List do Henryka Sienkiewicza – pisarza bliskiemu młodemu odbiorcy”. Na scenę zostali poproszeni wszyscy uczestnicy konkursu. Każdy z nich miał okazję zaprezentowania fragmentu swojego listu wszystkim osobom zgromadzonym w szkolnej auli. Uczestnikami byli za równo uczniowie pierwszych klas gimnazjum, jak i pierwszych klas liceum. W nagrodę otrzymali oni książki z dedykacją pani Barbary Wachowicz.

Rozstrzygnięcie konkursu było ostatnim elementem całej uroczystości, która skończyła się po godzinie 15.00. Wszyscy obecni uczestniczyli w bardzo ważnym dla



## Felietony

Powiatowego Gimnazjum Publicznego wydarzeniu, czyli nadaniu imienia Henryka Sienkiewicza. Od 9 listopada 2010 roku już nie tylko I Liceum Ogólnokształcące nosi imię

Henryka Sienkiewicza, ale również Powiatowe Gimnazjum Publiczne.

*Łukasz Magnuszewski*

### Dzień Patrona (liceum)

Dnia 16 listopada 2010 w naszym liceum obchodziliśmy kolejny Dzień Patrona. Uroczystość rozpoczęła się przed pomnikiem Henryka Sienkiewicza, gdzie zabrzmiał hymn narodowy a następnie pierwszoklasiści złożyli ślubowanie, umacniając swą pozycję w życiu szkoły. Druga część obchodów odbyła się w auli szkolnej. Przybliżono nam zarówno historię nadania imienia szkole, jak i los Litwosa, naszego patrona. Po przemówieniach dyrektora i zaproszonych gości nastąpiła prezentacja listów, które zredagowali uczniowie naszej szkoły w ramach konkursu „List do Henryka Sienkiewicza – pisarza bliskiego młodemu odbiorcy” (nagrodzeni i wyróżnieni: Konrad Dobrzyński, Marta Grenadier, Lena Rajewska, Natalia Wesołowska – PGP oraz Miłosz Borowski, Aleksandra Dziełakowska, Ewa Dzitowska, Róża Figura, Joanna Kruszyńska, Agata Nowakowska, Loretta Raczkowska, Wiktoria Stawiarska, Maria Wiśniewska, Ewelina Wolska i Aleksandra Żabowska).

Po części oficjalnej koło

„Żywego Słowa”, pod przewodnictwem pani Teresy Dworeckiej, zaprezentowało jednoaktową komedię naszego patrona pt. „Zagłoba Swatem”. Właśnie ta część uroczystości zyskała największe uznanie, dlatego wymaga krótkiego omówienia.

„Zagłoba swatem” to komedia, która uznana za „sceniczny drobiazg” powstała z okazji 25-lecia pracy twórczej Henryka Sienkiewicza. Akcja jest krótka, ale jak to zwykle bywa dotyczy miłości. Panna Zosia (Paula Karolak), córka Oliwiusa (Paweł Bałdyga) nie otrzymuje zgody na małżeństwo z żołnierzem, Janem Zarembą (Krzysztof Kryjak). Ten jednak nie traci nadziei i obmyśla plan, jak poślubić piękną Zosię. Kokietuje krewne ukochanej (Paulina Chyl, Zuzanna Paszkowska) i szuka aprobaty u starego żołnierza Cypriana (Jakub Nowak), nie wzbudzając podejrzeń Oliwiusa. Wtedy zjawia się Zagłoba (Mateusz Gerasik), który podając się za Łykaj-beja sprawia, że los domu Oliwiusa staje się niepewny. Ostatecznie doprowadza on do zaślubin Zaremby z Zo-

sią. Kiedy intryga wychodzi na jaw, Oliwius, początkowo wzburzony, za namową Zagłoby postanawia zaakceptować związek córki i udziela błogosławieństwa młodej parze.

Przedstawienie było żywym odzwierciedleniem komedii. Szlacheckie stroje dodały odtwórcom ról profesjonalizmu, a staropolszczyzna, wyjątkowo łatwa w odbiorze, wskazywała na komizm zarówno postaci, jak i sytuacji. W tym momencie warto pochwalić odtwórców, którzy doskonale przedstawili problematykę swoich bohaterów, a w szczególności Krzysztofa Kryjaka, który jako Jan Zaremba vel Belmondo wzbudził wiele spontanicznych reakcji wśród odbiorców. Ogromny trud, który został włożony w przygotowania, nie przełożył się na odbiór spektaklu. Wręcz przeciwnie. Język był dość lekki a dialogi żywe. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się tak pozytywnego odbioru tego spektaklu, chociażby z powodu wiernego odwzorowania treści. Przyznaję, byłam mile zaskoczona.

## Felietony

Myślę, że połączenie twórczości klasyka polskiej literatury z żywiołowym temperamentem płońskiej młodzieży przyniosło oczekiwany efekt. Nie każdy jest miłośnikiem literatury. Uczniowie częściej sięgają po książki z musu niż z chęci, dlatego cieszę się, że dzięki takiej inicjatywie sztuka staje się nam bliższa. Dzień Patrona można uznać za udany szczególnie za sprawą Koła Żywego Słowa. Przeczytanie „Zagłoby swatem” byłoby dla niektórych wielkim wysiłkiem, obejrzenie spektaklu – rozrywka bezcenna z gwarantowaną dawką humoru na dalszy ciąg dnia.

Asia Kruszyńska



## Połowinki

Głównym tematem rozpoczynającym drugą klasę liceum są zazwyczaj połowinki. Już w okresie wakacji uczniowie podejmują dyskusję na ten temat. Zaczyna się niewinnie – na forach internetowych, bądź między nielicznie wtajemniczonymi osobami, które kryją w swojej wyobraźni wstępny zarys tego jakże wielkiego dla każdego drugoklasisty wydarzenia. Następnie, wraz z pojawiającymi się coraz nowszymi i bardziej wymyślnymi pomysłami, dyskusja staje się coraz burzliwsza. Przytłacza ona

wszystkie inne sprawy i już od pierwszego spotkania na godzinie wychowawczej jest dynamicznie kontynuowana.

Jak to w życiu bywa – ilu ludzi, tyle opinii, więc nie ma cudów, bez kłótni się nie obejdzie. Spory najczęściej dotyczą: a) klasy, z którą można by było się ewentualnie połączyć w celu zmniejszenia kosztów imprezy; b) właśnie wspomnianych kosztów; c) miejsca; d) ilości ciepłych dań, co wiąże się ściśle z ww. kosztami; e) opiekunów, ilości osób etc. Można by wymieniać bez końca. Heroicznym zadaniem jest

dogodzenie każdemu, powiem więcej, jest to wręcz niemożliwe. Zawsze znajdzie się ktoś niezadowolony, ale od tego właśnie jest kompromis. Myślę, że uczniowie naszej szkoły potrafią się odwołać do zdrowego rozsądku. Pomimo uciążliwości wielotygodniowych negocjacji jesteśmy w stanie dojść do porozumienia w każdej sprawie.

Właśnie dobiegł końca czas imprez połowinkowych. Wszyscy mamy to już za sobą. Osobiście, poza własnymi połownikami, które wspominam z wielkim uśmiechem na twa-

## Z życia szkoły

rzy, miałam także przyjemność bawić się gościnnie u innej klasy i patrząc na te dwa wydarzenia z perspektywy czasu, dochodzę do pewnych wniosków. Po pierwsze uważam, i tak jest również przyjęte, że połowinki to nie jest impreza szkolna, zatem nauczyciele i wychowawcy nie powinni ingerować w jej przebieg czy organizację, tak jak jest to w przypadku studniówki. Niepotrzebne wydaje mi się podejmowanie rozmów na ten temat w czasie wywiadówek szkolnych. Z racji tego, że jest to prywatnie organizowane spotkanie całej klasy, uważam, że takie sprawy nie powinny być poruszane na zebraniach, gdyż nie jest to szkolne wydarzenie.

Uczniowie z racji swojego wieku są zobowiązani do zorganizowania opieki, której wymagają zazwyczaj właściciele wynajętych lokali. I to jest drugi wniosek, który mi się nasuwa, a mianowicie opieka jest jak najbardziej konieczna. Są to najczęściej wybrani przez nas rodzice, którzy z większą lub mniejszą przyjemnością biorą na swoje barki to ciężkie zadanie, jakim jest upilnowanie porządku na imprezie siedemnastolatków. Nie obarczajmy zatem gospodarzy naszych klas tym niewdzięcznym zadaniem, bo każdy dobrze wie, że to nie zda egzaminu. A poza tym, oni tak jak my chcą się dobrze bawić, a nie tylko ganiać i pouczać rówieśników, którzy i tak nie biorą sobie ich uwag do serca.

Cały zamęt robiony

wokół połowinek w gruncie rzeczy się opłaca. Zazwyczaj opinie dotyczące imprez połowinkowych są bardzo pozytywne, choć zdarzają się niezadowoleni, tacy jak Krystian. O swoich połownikach mówi tak:

- Zgodnie obwołane „imprezą roku” połowinki klasy II B (yy... no tak, II A w sumie też tam miała być) były inicjatywą wyczekiwaną od bardzo długiego czasu. Ogrom przygotowań, skrupulatne wybieranie piosenek, przy których moglibyśmy roz... zniszczyć kosmos, a także mniejsze lub większe kontrowersje związane z obecnością bądź nieobecnością na tej imprezie mniej lub bardziej pożądanym tam osób – tak mniej więcej wyglądały ostatnie dni (tygodnie?) przed magiczną datą 23 października. Niestety... nadzieje i plany znacznie rozminęły się z rzeczywistością. Do granic możliwości irytujący didżej (pf...), który „zapomniał z domu” płyty z utworami przez nas „zamówionymi”, czy też brak odpowiedniej ilości jedzenia dla tak dużej liczby osób – to dwa największe rozczarowania tej imprezy. Także tego... ja usatysfakcjonowany nie jestem – liczyłem na wiele, wiele więcej. Rzecz jasna, to nie oznacza, że moje zdanie dzielają wszyscy uczestnicy połowinek – spotkałem się z opiniami, że było doskonale. Cóż, może ja w tym czasie korzystałem z toalety lub pomagałem koledze, który zatruł się nieświeżym dewolajem...

To prawda, nie wszyscy

podzielają opinię Krystiana. Moje źródła informacji donoszą, że impreza była okrzyknięta mianem „epickiej”. Dla większości bawiących się tam osób wspomnienia są bardzo pozytywne. Michał przeżył swoje połowinki w zupełnie innym miejscu i z innymi ludźmi. Też zgodził się podzielić swoimi wrażeniami:

- Połowinki klas C i D okazały się jedną z lepszych imprez. Na jej znamienitość wpłynęły następujące czynniki: kapitalne miejsce imprezy, dobre jedzonko, DJ, który zniszczył kosmos (świetna muzyka, jakby to znany w Płońsku poeta powiedział: „Brożo, mówię Ci, kapital, fajni ludzie, kulturalna ekipa, no i chwilka prywaty – osoba towarzysząca ;D. Impreza zaczęła się o ok. 19. Dworek, jak sama nazwa mówi, przepiękny, aż szkoda było nas tam wpuszczać. Dostaliśmy coś tam do jedzenia (nie pamiętam co, ale było dobre). Zaraz po tym DJ zaprosił wszystkich na dancefloor (a co tam, angielszczyzna musi być). Jak zaczęliśmy tańczyć od ok. 20:00, to skończyliśmy... hmm... no ja osobiście o 4:00. Muzyka, jaką grał DJ, była tak kapitalna, że nawet chóry anielskie by lepiej nie zagrały. Pamiętam, jak rano się obudziłem i z uśmiechem pełnym grymasu stwierdziłem „Ała, Ała, moje nogi!!!”. A właśnie. Zapomniałbym. Najlepszą rzeczą na Sali, a raczej dwoma najlepszymi rzeczami, były duży parkiet i stół, na którym były owoce i ciasta. Odnosnie stołu z ciastami – tak,



## Z życia szkoły

przyznaję się, trochę się poja-  
dło ;D. Reasumując, była to  
chyba najlepsza imprezka w  
moim życiu. Myślę, że jeżeli  
zapytalibyśmy o opinie na te-  
mat połowinek innych uczest-  
ników imprezy, to ich zdanie  
byłoby jak nie identyczne to w  
90% podobne. Ocena 10 na 10.

Ciekawe zdarzenia mia-  
ły także miejsce podczas ostat-  
niej już zabawy połowinkowej  
organizowanej przez klasę II F.  
Relację z niej zgodziła się zdać  
Julka:

- Od dawna wyczekiwana im-  
preza IIF, pomimo dość okroj-  
onego składu, uznana została za  
udaną. Wystartowaliśmy o  
godz. 20:00, i, ku zdziwieniu  
wszystkich, po kilkunastu mi-  
nutach parkiet był pełen. At-  
mosfera sympatyczna, mili lu-  
dzie, których z godziny na go-  
dzinę przybywało, ale nie mia-  
łam serca ich wyrzucać ;p. DJ?  
Dobry, aczkolwiek doszły  
mnie słuchy, że „WAKA WA-  
KA” było tylko raz, co jest

wręcz niewybaczalne!  
O ile mi wiadomo, oprócz jed-  
nego stłuczonego talerzyka i  
ciągłych pożarów, obeszło się  
bez większych szkód, także  
gratulacje dla IIF :D Zanim się  
obejrzeliśmy, wybiła 3:00, 4:00,  
w końcu 5:00, trzeba było po-  
woli się zbierać. Ostatnie osoby  
opuściły salę niewiele przed  
6:00 nad ranem, więc pozwolę  
sobie stwierdzić, że „balet był  
przedni”.

Niewątpliwie najkrócej  
bawiły się klasy E i G, dlatego  
Justyna postanowiła opowie-  
dzieć o nich w niezbyt rozbu-  
dowany sposób, bo i po co. Ci,  
którzy byli, i tak wiedzą, co się  
działo, a reszta nie musi. Albo  
niech się dowiaduje z innych  
źródeł :P:

- Połowinki klas E i G, pomimo  
że trwały do 24:00 (nie wnika-  
my), były mega. Nie zabrakło  
dobrej muzyki i towarzystwa  
do zabawy. Szczerze mówiąc,  
to myślę, że przydałaby się po-  
wtórka z rozrywki.

Połowinki to wydarze-  
nie niezwykle scalające klasę,  
dzięki czemu młodzież lepiej  
się poznaje, a atmosfera w kla-  
sie ociepla się. Organizacja pół-  
metka uczy także odpowie-  
dzialności. Uczniowie od po-  
czątku do końca planują  
wszystkie szczegóły zabawy,  
załatwiają lokale, DJ-ów, trans-  
port itp. Dziela między siebie  
obowiązki, polegają na sobie  
nawzajem. Nie jest to łatwe  
zadanie, więc kiedy przynosi  
oczekiwane skutki, radość z ich  
wykonania jest jeszcze więk-  
sza, a zabawa bardziej docenio-  
na, na co dowodem są niezwy-  
kle emocjonalnie udzielane  
opinie ich uczestników.

Eliza Kleniewska z pomocą:

Krystiana Grzelaka

Michała Brożyny

Julki Wierzbickiej

Justyny Szmulewicz

## Powrót do przeszłości – wspomnienie spektaklu

Macie czasem takie uczucie, że widząc coś, bardzo chcielibyście być częścią tego i czynnie w tym uczestniczyć? Nie odpowiadajcie – tak naprawdę aż tak mocno mnie ta odpowiedź nie interesuje...;) A to z tego powodu, że ja ostatnio byłem w takiej sytuacji. Nawet nie pierwszy raz – można by rzecz, swoiste deja vu. Znowu siedzę wśród publiczności, znowu widzę na scenie te same, znajome twarze. Wszystkie to ma jedno podłoże – wspaniała szkolna inicjatywa, dzięki której niezwykle uzdolnieni uczniowie mogą choć przez chwilę poczuć się jak gwiazdy światowego formatu, stojące wśród blasku reflektorów. Bleh, dobra, koniec tego dobrego.

Co jakiś czas, w naszej szkole odbywają się swego rodzaju przedstawienia, spektakle, w których główne role odgrywają nasi koledzy i koleżanki. Jedni w tych przedsięwzięciach biorą udział częściej, inni rzadziej, ale zazwyczaj towarzyszy temu mnóstwo



zabawy i śmiechu. Nie inaczej było i tym razem. Po Marku Hłasce i miłości, tym razem głównym motywem spektaklu były bajki. Pierwsza myśl – idealnie. Powrót do przeszłości, wspomnienie jednych z najwspanialszych chwil, jakie przeżywaliśmy, oglądając disneyowskie produkcje. Zapowiadało się więc świetnie i... co tu będę długo mówił... tak też się zakończyło.

Tradycyjnie już miałem okazję biernie uczestniczyć w kilku próbach do tej „sztuki” i – zamierzone powtórzenie – tradycyjnie było wiele chaosu, kłótni i zgrania. Do spektaklu pozostawał dzień, a aktorzy wciąż zmieniali swoją wizję danej roli. To nic. Ważne, aby wypaść dobrze w tej decydującej fazie – oficjalnym występie. A ten, jak to zwykle bywa, zbliżał się nieubłagalnie. W końcu przyszedł piątek, aula Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Płońsku pękała w szwach, a gwiazdy tego wieczoru przestępowały z nogi na nogę, nerwowo obgryzając paznokcie. Jeszcze chwila, jeszcze moment... i jest! Światła gasną, a naszym oczom ukazują się pierwsi uczestnicy tych „zawodów”. I co to dużo pisać... nie będę „jechał” standardowo, jak to bywa w recenzjach, o nie.



To nie dla mnie – ja wychodzę poza schemat. O, już wiem.

To jedziemy: podobało mi się niemal wszystko. Owszem, może były i jakieś wpadki, ale nie sprawiły one, że popsuła się jakość występu. Okej, żart o sezamkach wyrzucam z pamięci i udaję, że go nie było. Wydaje mi się, że wyszła każda scenka. Oczywiście, niektóre mocno zmiażdżyły – odtworzenie „Królowy Śnieżki” czy „Alibaby” zważyło z nóg. Jeśli jednak mógłbym wspomnieć o pojedynczych osobach, to przeogromne wrażenie zrobiła na mnie Monika w roli Złej Królowej. Smarknięcie, ironia, dystans – pierwsza klasa! Taniec Gerasa i jego rozmowa z Pawłem rodem z „Zohana” – bezcenne. Ach, bym zapomniał! – chłopcy, w rajstopach Wam do twarzy. Co poza tym... moim skromnym zdaniem doskonale zaprezentowali się (to nie nowość) Łucja, Mi-

## Z życia szkoły

chał i Szymon.

Ogólnie, naprawdę, świetnie. Doskonała robota zespołu muzycznego, którego aranżacje/wykonania piosenek tradycyjnie już mocno oddziaływały na ludzi (na mnie szczególnie jeden z głosów, przy którym się rozpląwam – i nie, wbrew pozorom, nie chodzi o Łukasza).

Konferansjerzy – bravo. Jestem pod wrażeniem opanowania, z jakim imprezę prowadziła Eliza. O Krzysiu wolałbym się nie wypowiadać, ponieważ byłbym nieobiektywny. Za bardzo go lubię, więc nie mógłbym napisać złego słowa. Hym, no tak, ale nie ukrywajmy, że teraz byli oni trochę za bardzo w cieniu. Brakowało takiego scenicznego idioty – ech, nie mam pojęcia, kto by mógł wziąć na siebie taką rolę. Samo zakończenie również było najwyższych lotów. Piszę o trzeciej odsłonie spektaklu, wieczornej, więc może pominiemy ten przykry incydent z dorwaniem się do mikrofonu osoby (...) – wszak z niepełnosprawnych nie wolno żartować. Tak na sam koniec – miny zdezorientowanych serek boskie. Ten brak swobody, to skrępowanie, ta



chęć zapadnięcia się pod ziemię – mmm... jak miło się na to patrzy.

Nie wiem, co jeszcze mógłbym dodać... Wydaje mi się, że przekazałem wszystko to, co chciałem. Przepraszam za formę, ale piszę to dość mocno zmęczony, pod presją. Yyy... także tego... gorąco wierzę, że to nie koniec tego typu inicjatyw – chciałbym ponownie wziąć w czymś takim udział. Nie odpuściłbym sobie okazji do popajacowania na scenie.

Jeszcze raz, wielkie bravo dla aktorów, nawet mimo tego, że niektórzy z nich mają w sobie na scenie tyle naturalności, co bracia Mroczkowie razem wzięci. To nieistotne. Ważna jest dobra zabawa i końcowy efekt – a te były na najwyższym poziomie.

Gratuluje.

PS Pamiętajcie, to nie jest zwykła recenzja.

Poniżej – wypowiedzi bohaterów spektaklu...

**Damian Brudzyński:** Na początku nie byłem przekonany do motywu bajek i przedstawienia tego na scenie – po prostu uważałem, że to będzie kłapa, nie przyjmie się, bo – faktycznie – stąpaliśmy po bardzo cienkiej granicy pomiędzy tandetą (powiem szczerze, długo uważałem, że w nią brniemy) a stworzeniem czegoś naprawdę fajnego, dostępnego i trafiającego do ludzi o... hm... różnych



wymaganiach estetycznych. Osobiście nie byłem zbyt mocno zaangażowany na próbach, a moja rola była krótka. Ponadto, kilka z nich byłem zmuszony ominąć, ale generalnie atmosfera na nich zawsze jest przyjazna, bo przecież spotykają się ludzie, którzy mają ten sam cel, poświęcają swój czas, którego nie wypada marnować i chcą, żeby wszystko wypadło jak najlepiej. Żadnym sekretem nie jest, iż współpracowaliśmy z wieloma nowymi osobami, które nie brały udziału we wcześniejszych występach. Przyznam, że na początku mnie to martwiło, bo sądziłem, że nie zgramy się jako zespół. Nawet mimo tego, że scenki były grane przez ściśle dobrane osoby, pełne powodzenie zależało od całości i tego, ile z siebie da każdy, kto bierze udział w spektaklu. Czy to muzyk, czy to aktor, osoba puszczająca podkład, narrator – to było bez znaczenia. Każda rola miała wpływ na powodzenie występu. Jednak mimo tego, że stopień naszego zorganizowania na próbach był na poziomie zorganizowania kudłatej wycieraczki, czyli praktycznie ze-



## Z życia szkoły



rowy (doskonale pamiętam, jak sorka D., patrząc na generalną próbę, zasłaniała dłońmi twarz), to ostateczny efekt był genialny. Stres, publika, która wymagała przecież czegoś ciekawego, a nie jakiegoś rasowego gniota, skoro już zdobyła się na przyjście do auli, zrobiły swoje. Cała „drużyna” była zgrana, skupiona, a gdy zdarzały się jakiegokolwiek problemy, spektakl był kontynuowany – musieliśmy dokończyć to, co zaczęliśmy, choćby się waliło i paliło.

Dziś jeszcze rozmawiałem w „kawiarni” Bajka ze swoim znajomym, który był widzem na piątkowej odsłonie spektaklu i dowiedziałem się, że jego zdaniem wykonaliśmy kawał dobrej roboty. On przyszedł i dobrze spędził ten czas, nie żałował tego. Cieszyłem się, bo wiedziałem, że to prawda, gdyż ów mój znajomy zdecydowanie nie należy do ludzi, którzy mają problemy z mówieniem prawdy. Dość moich wypocin, to tyle na temat spektaklu.

**Mateusz Gerasik:** Spektakl, spektakl, spektakl... Na pewno ciekawe i wartościowe do-

świadczenie. Nie mogę opisać i ujednolicić moich odczuć na temat tego przedsięwzięcia. Z jednej strony bardzo miło było wreszcie za-

prezentować się mamie oraz zobaczyć jej zadowolony wyraz twarzy i wysłuchać pochwał. Przyjemnie jest ich słuchać, kiedy wkłada się coś sporo pracy. Z drugiej strony granie wspólnie z Pawłem było bardzo dobrą zabawą, którą miło wspominam. I ta satysfakcja na widok reakcji widowni. Małymi, lecz zaskakującymi środkami osiągnęliśmy coś, co naprawdę jest ważne dla nas – grających w spektaklu. Naprawdę lepiej odtwarza się pewną rolę, gdy to, co daję z siebie, wywołuje pozytywne emocje wśród oglądających. Wtedy i my dajemy z siebie więcej, bo widzimy, że mamy dla kogo. To z punktu widzenia Ali Baby. Hm... Poza tym ten spektakl był inny niż poprzednie. Jak zawsze, scenki były lepsze i gorsze, ale całość była sukcesem. Ale oczywiście jest też druga strona medalu... ach, tak... „Kopciuszek”... liczne niedociągnięcia odebrały mu sporo na jakości. Oj tak, ciężko było. Wcielić się w księcia w takich warunkach było naprawdę trudno. Nasza kochana reżyserka określiła mnie macho-księciem... Ale chyba każdy macho, kiedy odczuwa pożądanie do przedstawicielki płci przeciwnej, w pewnych



okolicznościach mięknie. Ale nie tym razem. Nie wróżę przyszłości tej parze. I naprawdę przykro mi z powodu jakości mojej wypowiedzi, ale od jakiegoś czasu moja krzywa intelektu pnie się nie w tę stronę, w którą powinna.

**Eliza Kleniewska:** Uważam, że przedstawienie wypadło świetnie. Generalnie, zawsze ciekawiły mnie szkolne inicjatywy, a teraz miałam przyjemność sama wziąć w jednej z nich udział. Dzięki temu zyskałam skalę porównawczą z tym, co działo się na próbach. Mogę więc śmiało powiedzieć, że wyszło nam doskonale. Co do mojego debiutu na scenie, to... hm... spodobało mi się występowanie przed publicznością, więc chętnie podjęłabym się takiego zadania raz jeszcze. Dużą satysfakcję dały pozytywne opinie odbiorców, które





## Z życia szkoły

naprawdę motywują do dalszych działań i za które serdecznie dziękuję. Atmosfera panująca w trakcie trwania tego typu projektów jest naprawdę sympatyczna. Po raz pierwszy zaangażowałam się w szkolne przedstawienie i nie żałuję. Korzystając z okazji, chciałabym serdecznie pogratulować aktorom talentu i zaangażowania oraz podziękować za stworzenie tej ciepłej atmosfery podczas każdego z występów.

**Krzysztof Konstantinow:** Jako że prośba sorki D. jest prośbą, której odmówić nie można, to muszę, hmm... chcę napisać coś odnośnie ostatniego spektaklu :) Jest to bardzo ciekawe przeżycie. Mimo że brałem w czymś takim udział po raz drugi, to nie wykluczało to przedwystępowego stresu, ale też entuzjazmu. Do całości podszedłem bardzo poważnie, próbowałem uważać na wszelkiego rodzaju błędy (nawet pomijając to, że dalej nie wiem, co jest takiego śmiesznego we fragmencie brzmiącym: „Piękna i Bestia”,) i jestem zadowolony ze swoich występów. Jednakże cały spektakl nie odbyłby się bez udziału naszych aktorów i sekcji muzycznej.

**Łukasz Magnuszewski:** Osobiście spektakl bardzo mi się podobał. Był to mój debiut na scenie szkolnej, ale myślę, że wszystko poszło zgodnie z planem. Fakt, moja rola nie była

kluczową, lecz nie to się liczy. Na próbach panowała radosna i bardzo miła atmosfera. Nie było nerwowo i to mi się spodobało. Oczywiście miałem pewnego rodzaju treść, może nie tyle przed tym, że zapomniałem moją jakże długą i skomplikowaną kwestię, lecz przed tym, że ogląda mnie praktycznie cała szkoła, w tym wielu moich znajomych. Publika na moje dwa zdania zareagowała śmiechem, co mnie bardzo ucieszyło. Jeżeli tylko będzie możliwość, to rzeczą oczywistą jest to, że będę chciał występować w innych spektaklach. Bezapelacyjnie spektakl uznaję za udany i chciałbym, żeby przyszłe były na tym samym poziomie.

**Zuzanna Paszkowska:** Gdy przystępowaliśmy po raz trzeci do współpracy nad przygotowaniem spektaklu, nękało nas wiele pytań i wątpliwości. Na jaki temat powinniśmy się zdecydować, jaką przyjąć formę, czy uda nam się ponownie zaskoczyć i trafić w gust naszych odbiorców? Nie jest to zadanie łatwe. Dodatkowo, entuzjazmu i nadziei na pomyślność naszego projektu, nie przysparzał nam totalny chaos (chyba taką nazwę powinniśmy przyjąć dla naszej zgrai), który tym razem zdecydowanie przekraczał wszelkie możliwe normy. Osobiście, uwielbiam obserwować, jak w tak krótkim czasie i z tak



wszechogarniającego zamieszania może powstać coś naprawdę wartościowego, fajnego, czy po prostu nadającego się do pokazania. Dla nas samych główny sens naszych starań stanowią wspólne spotkania. Najwięcej radości sprawiają zawsze same próby, czas spędzony razem. Moment spektaklu na scenie przed widownią to tylko formalność, uzupełnienie, choć oczywiście moment ekscytujący i wyciekany. Najfajniej gra się zawsze dla znajomych, najbardziej stresująco - dla rodziców. Pierwsza myśl po zejściu ze sceny - co dalej?

...i jego widzów:

**Joanna Banaszewska:** Inicjaty-



## Z życia szkoły



wa naprawdę udana – przedstawienie bardzo mi się podobało. Zaciekawienie wzbudziło przede wszystkim zabawne „przerobienie” bajek i pokazanie ich z dużym dystansem. Ciekawe zestawienie wszystkich adaptacji – przejścia między poszczególnymi elementami spektaklu były bardzo płynne, więc widzowie nie mogli poczuć znudzenia od początkującej „Pięknej i Bestii”, poprzez „Anastazję”, aż do „Oskara i Pani Róży”. Jeśli mogłabym kogoś wyróżnić, to bardzo spodobała mi się rola ojca Pięknej.

**Adam Magnuszewski:** Spektakl odebrałem bardzo pozytywnie, zresztą nie inaczej było w przypadku poprzednich dwóch. Ogólnie odniosłem wrażenie, że dla aktorów najprzyjemniejsza była możliwość spędzenia ze sobą trochę wolnego czasu, co od razu dało się zauważyć – a to jest przecież najważniejsze. Atmosfera wśród aktorów udziela się również widzom, więc jeśli ludziom fajnie się gra, obserwatorom – bardzo prawdopodobnie – będzie się to podobało. Pomysł sam w sobie bardzo

interesujący – jak osoby nieco starsze pokażą to, z czym kojarzy im się dzieciństwo. Ogólny podział na część humorystyczną i refleksyjną to kwestia gustu – i nie mnie to oceniać – natomiast pewne jest, że spowodowało to urozmaicenie przedstawienia. Momentami można było się pośmiać do łez, chociażby przy płasach Patrycji, Mateusza i Pawła, innym razem – w przypadku historii Oskara – zasmucić i popaść w refleksję nad sensem ludzkiego istnienia. Ogólnie bardzo duży plus.

**Michał Markiewicz:** Pewnie nie będę oryginalny i powtórzę po innych – podobało mi się. Zobaczyć znajomych grających królów, królowe i wszystkie bajkowo-baśniowe postacie... – było to bardzo sympatyczne. Wielki szacunek oczywiście dla nich, bo sam nie odważyłbym się pojechać na drewnianym Bucefale czy w ogóle założyć i pokazać się w rajstopach przed obcymi ludźmi (przynajmniej część z nich jest/była obca), ale to tak na marginesie. Oceniam całokształt, nie rozbieram tego spektaklu na czynniki pierwsze, ogólne wrażenie było bardzo pozytywne. Rozmowa arabsów, utonięcie z powodu szklanki wody czy cała inna masa absurdów... Fajnie, że Wam/im się chce angażować w takie rzeczy.

*Krzysztof Grzelak*

## Osoby odpowiedzialne za (...)

W spektaklu (04 XI oraz 05 XI) udział wzięli uczniowie z różnych klas, gimnazjum i liceum – wszyscy samodzielnie opracowali scenariusze wybranych przez siebie bajek, sami wybierali też konkretny ich fragment i organizowali pracę nad tekstem. Obok pracy osób związanych z danymi bajkami, równie ważny jest także wkład konferansjerów oraz tych, którzy decydowali o kształcie/rodzaju oprawy muzycznej. Konferansjerkę prowadzili: **Anna Pałac, Eliza Kleniewska** oraz **Krzysztof Konstantinow**. Narratorem we wszystkich tekstach, scalającym je w pewną jedność, był **Kasper Pawłowski**.

Za stronę muzyczną z kolei odpowiadali: **Michał Brożyna, Alicja Olejniczak, Agata Piórkowska, Monika Pośpiech, Kinga Raczkowska, Przemysław Sawicki** oraz **Łukasz Szostek**.

Poniżej – kolejność utworów wraz z osobami za nie odpowiedzialnymi:





### 1. *Piękna i Bestia:*

**Piękna:** Aleksandra Romanowska, **Bestia:** Jakub Nowak,  
**Ojciec:** Paweł Bałdyga,  
**Skrzat:** Maciej Osuch



2.

**siadka:** Karolina Krysiak

**Strażnicy:** Tomasz Antosiewicz, Szymon Zwierew

### 4. *Ali Baba:*

**Ali Baba:** Paweł Bałdyga, syn  
**Ali Baby:** Łukasz Magnuszewski, **Mardżana:** Patrycja Boruta,  
**herszt zbójców:** Mateusz Gerasik,

### 5. *Anastazja:*

**Anastazja:** Łucja Białoruska,  
**Dymitr:** Michał Kornatowski,  
**Volodya:** Szymon Zwierew,  
**Cesarzowa:** Magda Michalczuk

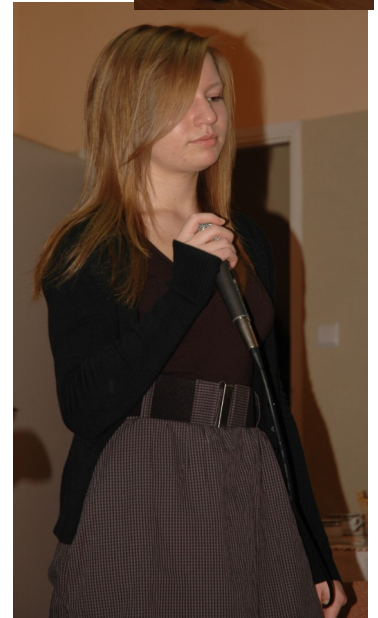
### 5. *Oskar i Pani Róża:*

**Oskar:** Magda Michalczuk, **Pani Róża:** Kinga Fatek, **Peggy Sue:** Magda Wiatr, **przyjaciele:** Jan Gutkowski, Łukasz Magnuszewski

Raz jeszcze dziękujemy wszystkim za zaangażowanie, wkład w pracę, czas poświęcony na przygotowania do spektaklu. Udział w nim tych ponad 30 osób to czas i praca, walka ze stresem, z tremą. I to właśnie trzeba przede wszystkim docenić, bo – wbrew jakże czytelnej złośliwości/sugestii Krystiana – nadal pamiętamy, co to znaczy – cytuję – chcieć zapaść się pod ziemię!)

M. Domańska

B. Dzitowska



### *Królowna Śnieżka:*

**Królowna Śnieżka:** Zuzanna Paszkowska, **Królewicz:** Damian Brudzyński, **Królowa:** Monika Lutomińska, **Lustreczko:** Magda Wiatr, **Myśliwy:** Krzysztof Konstantinow, **Krasnoludkowie:** Paweł Bałdyga, Jan Gutkowski, Karol Kaliściak, Łukasz Magnuszewski, Marcin Morawski, Patryk Ślubowski, Emil Witkowski

### 3. *Kopciuszek:*

**Kopciuszek:** Olga Rykowska, **Królewicz:** Mateusz Gerasik, **Macocho:** Kinga Fatek, **Haneczka:** Magdalena Wiatr, **Kasieńka:** Patrycja Boruta, **Są-**

## „Romeo i Julia” - wrażenia ze spektaklu

**Autorka recenzji : Marta  
Mroczkowska**

17 listopada 2010 roku o godzinie 13.00 w Kinie Kalejdoskop odbył się spektakl teatralny Pt. „Romeo i Julia”. Bardzo mi się on podobał, ze względu na poruszoną w nim problematykę i wspaniałe zaangażowanie aktorów w swoje role.

Sztuką, wyreżyserowaną przez Williama Szekspira w 1595 roku, do dziś inspirowane przez reżyserów filmów i teatrów. Na bazie owego dramatu nadal powstaje wiele ekranizacji i sztuk, przyciągających wzrok widzów. Porusza on bowiem dość nietypowy dla dzisiejszych czasów problem. Dwoje zakochanych w sobie ludzi, pochodzących ze zwaśnionych rodzin, nie może być razem. Jednak główni bohaterowie, Romeo i Julia, nie potrafią żyć bez siebie. Są gotowi wyrzec się swego pochodzenia, byle tylko być razem. W dzisiejszych czasach młodzi ludzie pragnący być ze sobą w związku zazwyczaj nie borykają się z tak trudnymi wyborami życiowymi. Romeo i Julia mieli do wyboru dwie opcje: rodzinę lub miłość. Uczucie łączące tych młodych ludzi okazało się jednak silniejsze od ich więzów pokoleniowych. Na koniec spektaklu ponieśli oni trudną, lecz jak na dowód miłości do drugiej osoby piękną śmierć.

Opowieść w oryginale jest przedstawiana inaczej. To przedstawienie było inspirowane ideą współczesności. Występowały w nim bowiem wspaniałe efekty specjalne, piosenki wykonawców, którzy według krytyków muzycznych są dziś jednymi z najlepszych, oraz wynalazki XX i XXI wieku. W tej sztuce niezmiernie zachwyciła mnie gra aktorów. Wspaniale wczuli się oni w swoje role, zachwycając tym samym widzów swoją grą, niektórymi dość zabawnymi scenami. Mają oni duży potencjał i przede wszystkim talent od Boga. Znakomicie go wykorzystują i rozwijają umiejętność grania na scenie. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będę miała szansę zobaczyć owych aktorów w innym widowisku. Nie można pogardzić również muzyką. Świetnie dobrana, o odpowiednim temacie przyczyniła się do odniesienia miłego dla uszu efektu.

Jestem bardzo zadowolona z tego, iż mogłam obejrzeć tak niesamowity spektakl teatralny. Przygotowania, w które włożyli swój wysiłek reżyser, aktorzy i wszyscy inni twórcy tego przedstawiania nie poszły na marne. Cieszy mnie również niezwykła popularność „Romea i Julii”. William Szekspir za czasów swego życia miał interesujący talent i zdolności do tworzenia sztuk. Pokazał on w nich wartości

istotne dla człowieka. Robił to w sposób wzruszający, czasem pełny grozy i obaw. Bardzo cenię go za zaangażowanie w swoją twórczość.

Widowisko „Romeo i Julia” bardzo mi się podobało. Ciekawie przedstawione, z interesującą scenografią i efektami specjalnymi niezmiernie mnie zachwyciło. Myślę, że innym oglądającym też bardzo się ono podobało.

**Autorka recenzji:**

**Weronika Niemirska**

Spektakl „Romeo i Julia” podobał mi się. Bardzo ciekawie przedstawiał on historię powstałą kilkaset lat temu przy użyciu współczesnych rekwizytów. Występowały w nim zarówno elementy humoru, jak też bardzo smutne sceny np. samobójstwo dwojga młodych ludzi. Była to piękna i wzruszająca opowieść o miłości, która pomimo braku dobrego zakończenia pozostawi po sobie dobre wspomnienia. Jedy- nym mankamentem było samobójstwo Julii, która w bardzo sztuczny sposób wbiła sobie sztylet w pierś.

**Autorka recenzji:**

**Antonina Rachobińska**

Wystawiona przez Teatr Współczesny z Krakowa w minioną środę inscenizacja tra-



gedii Williama Szekspira „Romeo i Julia” zrobiła na mnie duże wrażenie. I nie tylko mnie podobało się to przedstawienie. Moi koledzy i koleżanki również okazywali swoje emocje, co chwila nagradzając aktorów głośnymi brawami, a nawet (o zgrozo!) gwizdami. Jak można się domyślić, tak gwałtowna reakcja młodej widowni nie spotkała się z aprobatą kadry nauczycielskiej.

Historia nieszczęśliwej miłości dwojga kochanków została przez twórców widowiska uwspółcześiona. Przypomnę, iż klasyczna wersja napisana przez angielskiego pisarza opowiada o naszych rówieśnikach: Julii Kapulet i Romeo Montekim, pochodzących z wrogich sobie rodów, które nie dopuszczają do ich związku. Jednak para przeciwstawia się rodzicom. Młodzi biorą ze sobą ślub w kapliczce ojca Laurentego. Romeo zostaje skazany na wygnanie z Weronny po tym, jak zabija Tybalta, kuzyna Kapuletów, chcąc pomścić swego przyjaciela. Julia po odejściu ukochanego jest coraz smutniejsza, więc ojciec postanawia znaleźć dla niej męża. Bohaterka, oczywiście, nie zgadza się z tą decyzją. Nie wiedząc, co ma robić, dziewczyna udaje się do księdza, który daje jej eliksir. Po jego wypiciu bohaterka wpada w sen podobny do śmierci. Ojciec Laurenty wysłał list do Romea zawiadamiający o owym spisku, lecz pismo nie trafia w ręce młodzieńca. Gdy Baltazar powiadamia chłopaka o śmierci ukochanej, ten natychmiast

wyrusza w drogę, by odwiedzić grób Julii. W czasie podróży mężczyzna zakupuje prawdziwą truciznę. Romeo, widząc swoją żonę w trumnie, wypija śmiertelny płyn. Gdy Julia się budzi, dostrzega bezwładne ciało ukochanego. Nie mogąc się pogodzić z jego śmiercią, bierze jego sztylet i wbija go sobie prosto w serce.

W inscenizacji można było zauważyć odwołania do współczesności. Aktorzy byli ubrani w zwyczajne stroje: mężczyźni mieli na sobie jeansy i bluzy z kapturami, a panie kolorowe sukienki. Używali też nowoczesnych przedmiotów. Rozmawiali przez telefon komórkowy, nagrywali wydarzenia kamerą wideo. Uprawiali również jogging.

Muzyka odgrywała w przedstawieniu ważną rolę. Piosenki słuchane przez dzisiejszą młodzież stanowiły tło dla rozgrywających się na scenie wydarzeń. Momentami można było też usłyszeć melodie grane na gitarze przez ojca Laurentego. Bardzo spodobało mi się nietypowe oświetlenie, np. kolorowe lasery, a także inne efekty specjalne, min. sztuczny dym.

Myślę, że sztukę uwspółcześiono dlatego, by spodobała się nastoletnim odbiorcom, przyzwyczajonym do śledzenia losów takich bohaterów jak chociażby ci w „Plotkarze”. Dzięki temu zabiegowi twórcom udało się też uświadomić publiczności, że wymowa Szekspirowskiego dramatu jest wciąż aktualna.

Jak świat światem istniały, istnieją i będą istnieć konflikty międzypokoleniowe.

Sądzę, że warto było obejrzeć ten spektakl. Polecam go każdemu miłośnikowi teatru.

**Autorka recenzji:  
Julia Stolpa**

Spektakl pt. „Romeo i Julia”, który wystawił w płońskim kinie Teatr Współczesny w Krakowie, był adaptacją znanego dzieła Wiliama Szekspira o tym samym tytule. Było to wymieszanie świata współczesnego z wiekiem XVI. Aktorzy mówili i zachowywali się, jakby żyli w tamtych czasach, jednak czasem ich ubiór oraz rekwizyty wskazywały na współczesność. Sądzę, że miało to na celu ukazanie uniwersalizmu tego dramatu.

Gdy wyszłam ze spektaklu, zapytałam kilku osób, co sądzą o przedstawieniu. Usłyszałam same pozytywne opinie. Zapytałam również, jaka scena była dla nich najbardziej wzruszająca, jaka im się najbardziej podobała. Najczęstsza odpowiedź brzmiała: ostatnia, ponieważ pokazała ona, że dla ukochanej osoby jest się gotowym stracić życie.

Uważam, że ten spektakl był naprawdę wzruszający i ciekawy. Mam nadzieję, że szkoła będzie organizowała więcej tego typu wyjść.

## Kiedy myślę Ojczyzna

Kiedy myślę Ojczyzna, myślę – Polska. Kiedy myślę Polska, myślę – Dom... Listopad to szczególny miesiąc, odważamy w nim groby naszych bliskich i świętujemy kolejną rocznicę odzyskania niepodległości. 1. i 2. listopada odważamy mogiły poległych na różnych frontach żołnierzy. Na płońskim cmentarzu są dwie zbiorowe groby: w jednym leżą żołnierze walczący z bolszewikami w 1920 roku, w drugim polegli podczas II wojny światowej. O pamięci tych, którzy oddali życie za niepodległość Polski, świadczą płonące znicze i piękne kwiaty. Uważam, że trzeba przekazywać kolejnym pokoleniom szacunek dla krwi przelanej w imię wolności. O tym, jak ważna jest pamięć o żołnierzach, pisał Adam Mickiewicz: „Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie” („Dziady”, cz. III). Dlatego gdy myślę Ojczyzna, zawsze pamiętam o tych, którzy walczyli za jej wolność. Jestem pełen podziwu dla młodych, odważnych ludzi, którzy poszli na wojnę „Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec”. (Juliusz Słowacki, „Testament mój”).

Polaków jednocy również wspólna historia, tradycje, język i kultura. Warto dbać, by nie zostało zapomniane nasze wspólne dziedzictwo, przekazywane kolejnym pokoleniom. Historyczna zawierucha nie oszczędzała przez całe wieki

naszego kraju. Jednak zawsze pamiętano o tradycjach, które dzięki temu przetrwały do naszych czasów. Legendy o dawnych dziejach przekazywano z pokolenia na pokolenie. Dbano o język, nie poddano się rusyfikacji ani germanizacji. Moim zdaniem trzeba kontynuować tę tradycję i pamiętać o historii naszego kraju, aby przetrwała dla następnych pokoleń Polaków.

*W ostatnim czasie udało mi się przeprowadzić ankietę wśród osób w zróżnicowanym wieku. Każda osoba miała odpowiedzieć na pytanie: Czym dla mnie jest ojczyzna?*

**Moja Prababcia (90 lat):** Ojczyzna jest dla mnie krajem dzieciństwa, w którym się wychowałam i nieprzerwanie mieszkam. Urodziłam się w 2 lata po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, tj. już w wolnej Polsce. Przeżyłam II Wojnę Światową. Jak wspominałam, ojczyzna jest dla mnie domem, więc czymś, czego będę broniła, jeśli nie fizycznie, to duchowo. Nie chcę, by sytuacja z wojnami powtórzyła się w Polsce, bo wiem, co to znaczy...

**Mój dziadek (70 lat):** Ojczyzna jest dla mnie domem – domem, który pachniał świeżo wypieczonym chlebem na chrzanowych liściach oraz w którym panował nastrój patriotyzmu. Szczególnie ciepło wspominam momenty, gdy u nas w domu

co wieczór czytane były polskie książki m.in. „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza, „Pani Walewska” Waława Gąsiorowskiego czy „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza. Moja mama czytała je zarówno nam (mojej rodzinie), jak i ludziom z sąsiedztwa. Czytała, dopóki nie skończyła się nafta w lampie. Rodzice wychowali nas na patriotów. Chcieli, byśmy szanowali ojczyznę, ponieważ ich rodzice walczyli, by nasza ojczyzna była wolna i żeby ich praca nie poszła na marne.

**Michał (17 lat):** Ojczyzna? Miejscem, w którym mam i będę miał swój dom, najbliższych, ale mimo wszystko nie czuję równocześnie przynależności.

**Filip (17 lat):** Niczym szczególnym.

**Toto (17 lat)** We współczesnym świecie postępujący proces globalizacji i bardzo kosmopolityczny charakter postępowania ludzi, wpływa na zacieranie się realnego znaczenia tego pojęcia. Dla ludzi starszych ciągle obowiązuje typowe rozumienie ojczyzny. Natomiast wśród naszych rówieśników nastąpiło gigantyczne wypaczenie; ojczyznę określa się jako teren, na którym przyszło nam żyć, bez jakiegokolwiek kontekstu kulturowego czy osobistego przywiązania. A szkoda, bo wstydem wcale nie jest otwarte mó-

wienie o poruszonej kwestii, ale próba wywarcia na kimś wrażenia swoim lajtowym podejściem, brakiem zainteresowania.

*Rafał Szymański*

### Słowo od bogatych do biednych

Ktoś mądry powiedział kiedyś, że pieniądze szczęścia nie dają. Jest przecież tyle rzeczy ważniejszych od tych małych, w naszym przypadku nie zielonych, ale różnokolorowych papierków, którymi zwykliśmy się na co dzień posługiwać. Tyle rzeczy wokół nas, które potrafią nas uszczęśliwić dużo bardziej niż wypchany portfel. Możemy chociażby poleżeć na trawce i kontemplować piękno otaczającego nas świata. Ponieważ jednak z założenia tekst owy miał być felietonem, a w felietonie zwykle powinno się mieć zastrzeżenia do jakiejś ogólnie utartej tezy, przejdziemy teraz do moich zastrzeżeń właśnie:

#### ZASTRZEŻENIE

**PIERWSZE:** o ile do owego leżenia znajdziemy sobie łąkę lub inny spotykany coraz rzadziej cud natury, na pewno nie natkniemy się na żaden ze śladów podobno wszechobecnego pieniądza (wykluczając oczywiście opcję właściciela łąki, który w złości spowodowanej niszczeniem jego trawki przez miejskiego kontemplatora wytacza nam proces i żąda zapłacenia kosmicznych kar za

uszczerbki na zdrowiu), o tyle miejskie łąki, nazwane zwodniczo parkami przez otaczający nas system nie są przecież takie darmowe. Trzeba uświadomić sobie, że ktoś płacił za naszą przyjemność – musiał ją kiedyś zasiać.

#### ZASTRZEŻENIE DRUGIE

**GIE:** o ile nie jesteśmy wprawnymi tkaczami, projektantami, krawcami i producentami masyzyn do szycia, bez pieniędzy kontemplowalibyśmy naturę dokładnie tak, jak nas zaplanowała – nago. W lato pewnie nie byłoby to szczególnym problemem. Proszę spojrzeć za okno. Widzicie tam lato?

Niczym do następnej sali w muzeum przechodzimy od zastrzeżeń do tezy głównej – braku związku pomiędzy szczęściem a pieniędzmi.

#### ZASTRZEŻENIE

**PIERWSZE:** podejdźcie kiedyś do bezdomnego na ulicy i oświadczone mu, że pełny portfel nie dałby mu szczęścia. To nic nie znaczy, że nie ma za co kupić sobie chleba. Nie samym chlebem przecież człowiek żyje.

#### ZASTRZEŻENIE DRUGIE

**GIE:** amerykańscy naukowcy (którzy według demotywatorów.pl udowodnili ostatnio, że amerykańscy naukowcy nie istnieją) dowiedli, że na nasze szczęście składa się poczucie bezpieczeństwa. Pytanie retoryczne: czy bezpieczniej czujemy się z pełnym, czy pustym portfelem (wykluczając sytuację, kiedy to znajdujemy się w ciemnym zaułku z kilkoma podejrzanymi typami)? Właśnie. Pieniądz daje nam poczucie stabilizacji, odsuwa od nas widmo wielu niebezpieczeństw. Zresztą, społeczeństwo od dawna wpaja nam stereotyp, jakoby człowiek szczęśliwy był człowiekiem zdrowym, pięknym i, nie da się temu zaprzeczyć, bogatym. Pieniądz daje wolność – wolność jest podstawą szczęścia. Nawet tę faktyczną wolność osobistą da się przedłużyć za jej pomocą, wpłacając kaucję.

#### ZASTRZEŻENIE

**TRZECIE:** nie od dziś wiadomo, że świat pędzi za pieniądzem tak szybko, że o mało ci go nie dogoni. Inaczej patrzy się na ludzi mających pieniądze i ludzi ich pozbawionych.

Kto ma pilot, ten ma władzę.  
Kto ma pieniądze - ma pilot.

### ZASTRZEŻENIE

CZWARTE: co jest ważniejsze od pieniądza? Pierwsze, co nasuwa się na myśl, to zdrowie. Ale ten, który się leczy, wie, ile to zdrowie kosztuje. Jest warte tyle, że niektórzy rezygnują z jego części - nie stać ich na coś tak ważnego i drogiego, kiedy nawet ceny aspiryny zawrotnie wzrastają.

Nie twierdzą, że nie ma ludzi kompletnie splukanych i szczęśliwych jednocześnie - byłoby to z mojej strony naiwnością. Na pewno są gdzieś

tacy, którym wcale na nich nie zależy, ponieważ ważniejsze są dla nich kwestie niematerialne: wolność, równość, braterstwo. Nie twierdzą, że nie ma ludzi jednocześnie bogatych i nie-szczęśliwych. Jest ich bardzo, bardzo wielu, przekonać się o tym możemy, biorąc do ręki pierwszą lepszą gazetę.

Twierdzą, że pieniądze nie dają szczęścia, ale tylko tym, którzy ich nie mają lub nie umieją się z nimi obchodzić. A pierwsza wersja porzekadła to skrót i uproszczenie a - jak możemy się przekonać na podstawie czytanych przez nas

opracowań lektur - skróty i uproszczenia często mogą prowadzić nas do błędnych wniosków. Uproszczenie stworzone do tego zapewne przez ludzi bogatych i szczęśliwych - jako musieli się przecież wytłumaczyć, żebyśmy się ich aż tak nie czepiali i nie chcieli nagle rekwirować ich majątków tak, jak to już parę razy miało miejsce w naszej momentami niezbyt chlubnej historii powszechnej. Kropka.

*Monika Lutomirska*

## Władca wszystkiego

Któż z nas w dzisiejszych czasach wyobraża sobie życie bez komputerów? To nawet nie było pytanie, raczej spostrzeżenie, ale wątpię jednak, czy znalazłaby się chociaż jedna osoba umiejająca na nie odpowiedzieć. Więc jakież to wnioski możemy wyciągnąć z tego odkrywczego faktu? Że komputery rządzą światem? Nie... To zbyt proste, zbyt banalne. A zatem może chodzi o to, iż komputery rządzą nami? Naszym życiem, świadomością i jej undergroundową odmianą (oczywiście chodzi mi o podświadomość :)) ... Na pierwszy rzut oka teza wydaje się sprzeczna z założeniem oraz nie ma dowodu. Jednak już w kolejnych rzutach sprawa zaczyna gęstnieć niczym stygnący karmel i nagle odkrywamy w sobie przerażającą myśl, że to jednak może

być prawda...

Zacznijmy może od prostego Das Experiment. Jaka jest nasza pierwsza czynność po przebudzeniu się, przyjsciu ze szkoły lub skądkolwiek bądź? Hmm... no właśnie. Czyż blisko 90% nie pomyślało sobie właśnie o tym, ażeby włączyć komputer? No dobrze, idźmy sobie dalej. Co robimy następnie? Założmy, że nam już wszystko śmiga. Algorytm działania jest mniej więcej ten sam: facebook, nasza-klasa, mail, jakiś tam onet, wp lub inny pudelek. A czas leci... Po pudełku jakiś śmieszny filmik na youtube polecony przez znajomego, chwila rozmowy na gg z kolegą o dzisiejszych lekcjach, kilka(naście) forów, jakiś durny czat z pokemonami, potem znowu facebook, w

międzyczasie gierka we flashu, oczywiście dzienna porcja demotywatorów i komixxów... I tak niestety dochodzimy do późnych godzin wieczornych, w których to najchętniej każdy z nas położyłby się już spać. No ale do tego dochodzi jeszcze szkoła, obowiązki domowe, zobowiązania towarzyskie... Skąd brać na to wszystko czas? Lekcje można olać, aby do przodu, koledzy nie obrażą się, jak nie pójdę z nimi na pi... erniki, a pozmywać to jeszcze zdążę. Czyż znów nie pojawia nam się jakiś algorytm?

Komputery nas zjadają, zabierają nam czas, zabierają dzieciństwo, kradną nasz potencjał, który zamiast w czymś pożytecznym lokujemy w paladynie 90 lvl. Niestety, to smut-



na prawda, przed którą większość 1n-latków broni się rękami i nogami. Szkoda, że rodzice coraz częściej pozwalają dzieciom wychowywać się przed komputerem. Mama i tata mają spokój, dziecko jest zadowolone, że mu nikt nie przeszkadza. Jednak to tylko pozorna ugoda, a w rzeczywistości – trzymanie diabła na łańcuchu (hmmmm...). Dzieci zamiast marnować swoje dziecięce lata na wygłupianiu się, jeździe na rowerze, strzelaniu z proc, łuków, walkach na miecze, graniu w piłkę, marnują je przed komputerem. Przyznam się, że wśród dzisiejszej dzie-

ciarni czuję się jak dinozaur... Kiedyś dla mnie i moich kolegów liczył się tylko mocniejszy łuk, nowa piłka, więcej kapsli z pokemonami, fajniejszy domek na drzewie, koszulka ulubionego klubu piłkarskiego... Dziś, słuchając czasami rozmów osobników n lat młodszych ode mnie, wnioskuję, że teraz liczy się już tylko poziom rozbudowy ratusza...

Konkludując (kto wymyślił w ogóle to słowo...) tekst, autor pragnie wyrazić głęboki żal i rozczarowanie za dzisiejsze czasy. Jednoznacznie chcę też wyjaśnić, iż jego stanowisko nie pokrywa się w całości ze

stanowiskiem redakcji. Mimo wszystko, naprawdę mi przykro, kiedy widzę dziesiątki (idące już w setki) młodych osób, które z komputerem dorastały. Nie mówię, że to jest złe, Fe (26!) i wszystkich należy spalić na stosie. Jednak tak jak we wszystkim w życiu należy zachować umiar. Tak więc z komputera można korzystać (tak, pozwalam :)), ale starajmy się, aby ta nikczemna kupka krzemu (14!) nie zabiła w nas do końca resztek człowieczeństwa, jakie niewątpliwie każdy z nas posiada. :)

*Kamil Fijałski*

## Dziecinna zabawa czy może coś więcej

Ich rosnąca popularność sprawia, że są chętnie wybierane jako forma odstresowania i spędzenia wolnego czasu. Prawdopodobnie większość czytelników tego artykułu kojarzy je z dzieciństwa dzięki takim tytułom jak „Chińczyk” lub „Grzybobraniem”. Lwia część tych, którzy przypomną sobie o nich, uzna to za zwykłą dziecinna zabawę. Jest jednak zupełnie inaczej... O czym mowa? Oczywiście o grach planszowych.

Któż z nas nie pamięta, jak rzucał kostką, przesuwając pionek na planszy i cieszył się z wygranej nad swoimi kolegami i koleżankami, gdy jako pierwszy umieścił swój znacznik na polu META/KONIEC. Takie zwyczajstwa wynikały

zwykle ze szczęścia przy rzuceniu kostką, chociaż na przykład w grze „Monopol” niezbędne jest oprócz niego logiczne myślenie i dobre planowanie. Oczywiście nie bierzemy pod uwagę szachów, które wymagają ponadprzeciętnych zdolności (nie są zresztą przedmiotem moich rozważań). Prawdziwą „grą” można nazwać rozrywkę, która ma rozbudowany mechanizm. Zwykle akcje graczy odbywają się nie tylko w turach, ale także w kilku fazach. Nie polegają również tylko i wyłącznie na rzuceniu kostką. W skomplikowanych grach planszowych należy w miarę szybko obmyślić ogólny plan swojego działania oraz wykonać serię ruchów umożliwiających jego realizację. Dla przykładu mogę podać fragment rozgrywki w „Wysokie

Napięcie”. Trzeba najpierw rozplanować rozbudowę swojej sieci stacji transformatorowych, zakupić odpowiednie elektrownie, aby je zasilić, nabyć surowce, które napędzą elektrownie. Następnie odbierze się zapłatę i będzie można zasilić stacje w następnej turze lub rozbudować swoją sieć. Trzeba jednak bacznie obserwować przy tym poczynania innych graczy, którzy mogą kompletnie popsuć nasz, wydawało by się „genialny”, zamiar. Omówienie powyższego przykładu zajęło parę linijek tekstu pisanego czcionką 12 i mimo że rozgrywka została opisana w sposób dość powierzchowny, sądzę, że wystarczająco odparłem argument o prostocie i niewielkim stopniu myślenia wymaganym przy tego typu rozgrywce.

Tym bardziej, że „Wysokie Napięcie” posiada jeszcze niezbyt skomplikowane zasady...

Trudno odmówić grom planszowym ich dużego wkładu w rozwój zdolności planowania. Podstawowym elementem każdej rozgrywki jest rozrysowanie sobie w myślach ogólnej strategii działania i modyfikowania jej w miarę zmieniającej się sytuacji na planszy. Bez tego gracz może próbować kierować się co najwyżej „instynktem”, a jego ewentualny sukces będzie efektem niezwykłego szczęścia. Czasami mnogość elementów jest tak duża, że potrzeba dłuższej chwili zastanowienia. Niektóre gry dodatkowo komplikują sytuację tym, że wymagają do wygranej rozwoju nie tylko jednej dziedziny. Dla przykładu podam „Agricole”, która została jedną z najlepszych gier planszowych na świecie w 2009 roku. Prowadzimy w niej nasze niewielkie gospodarstwo, w którym musimy dbać o to, aby posiadać wystarczająco dużo zwierząt wszelkiego typu, upraw, izb naszego domostwa (z odpowiednich materiałów) oraz członków rodziny. Wymaga to dobrego wyczucia i umiejętności planowania. Przyczynia się zatem do rozwoju cech, które w prawdziwym życiu są nieraz bezcenne.

Warto także wspomnieć o kolejnej rzeczy. Gry planszowe są... ciekawą gałęzią rynku. Naprawdę dobra gra jest w cenie programu komputerowe-

go. Jednak płacąc za nie, możemy być pewni, że dostaniemy produkt najwyższej jakości. Elementy są zwykle wykonane z drewna lub tworzywa sztucznego, ale ich ilość jest czasami zadziwiająco duża. Wszystkie komponenty wyżej wspomnianej „Agricoli” ważą ok. 2 kilo. Wśród autorów gier planszowych zdecydowany prym wiodą nasi zachodni sąsiedzi – Niemcy. Wiele z ich gier jest w czołówce rankingu na stronie BoardGameGeek.com (anglojęzycznej stronie poświęconej omawianemu typowi rozrywki; jedno z najbardziej rzetelnych źródeł). Za przyczynę można uznać między innymi to, że to właśnie z ich kraju pochodzi najbardziej prestiżowa nagroda dla autorów – Spiel des Jahres (niem. „Gra roku”). Gry planszowe mają również swoje targi, które odbywają się jesienią każdego roku, zwykle w drugiej połowie października w Essen. Można tam spotkać twórców gier z wielu krajów, wypróbować ich najnowsze produkcje (wiele wydawnictw planuje swoje premiery właśnie na jesienne targi) oraz (a może przede wszystkim dla wydawców) zaopatrzyć się w niektóre tytuły. W Essen są również działy dla fanów gier RPG. Cała impreza trwa zwykle 4 dni. Polacy potrafią także robić znajdujące uznanie gry. Warto tu chociażby wspomnieć o wydawnictwie Portal oraz Ignacym Trzewiczku, którzy znani są z bardzo popularnej Neuroshimy HEX i wielu innych

tytułów.

Gry karciane są nieco odmienną gałęzią. O ile nie każda „planszówka” jest ulepszana o wiele dodatków, o tyle „karcianki” już tak. Co więcej, mają one charakter kolekcjonerski, więc, zbierając karty, należy skupiać się na jednej grze karcianej. Każdego roku wydawane są nowe zestawy, zawierające od kilkunastu do kilkudziesięciu kart. Rozgrzywka w gry karciane trwa zwykle znacznie krócej – najwyżej 1 godzinę. Za przykład można uznać „Magic the Gathering” lub „Warhammer: Inwazja”. Jako ciekawostkę dodam, że opowiadano mi kiedyś o pewnej osobie, która miała CAŁĄ szafę wypełnioną posortowanymi kartami do „Magic the Gathering”. Ponoć za równowartość ich wszystkich można by dostać w dawnych czasach nowego Poloneza...

Podsumowując, nie można stwierdzić, że jest to zabawa tylko i wyłącznie dla dzieci. Owszem, jest skierowana również do nich, jednak niektóre gry mogą być dla nich zbyt skomplikowane i wymagać zbyt wiele cierpliwości. Jest to część rynku podobnie jak gry RPG lub komputerowe, która rozwija się dość szybko. Mam nadzieję, że po przeczytaniu tego artykułu, będziecie nieco lepiej zorientowani w tej dziedzinie. Dla ciekawych podaję adres stron, które mogą dodatkowo poszerzyć waszą wiedzę. Ostateczną ocenę pozostawiam

Wam.

[www.boardgamegeek.com](http://www.boardgamegeek.com)

[www.spiel-des-jahres.org](http://www.spiel-des-jahres.org)

Dariusz Gołębiowski

## Jak to Machalica śpiewał Stachurę

Machalica. Stachura. Dobrze nam znane nazwiska. Machalica – aktor. Stachura – poeta. Co ich łączy? Takie właśnie pytanie zadałam sobie, wpisując się na listę wyjazdu do Teatru na Woli.

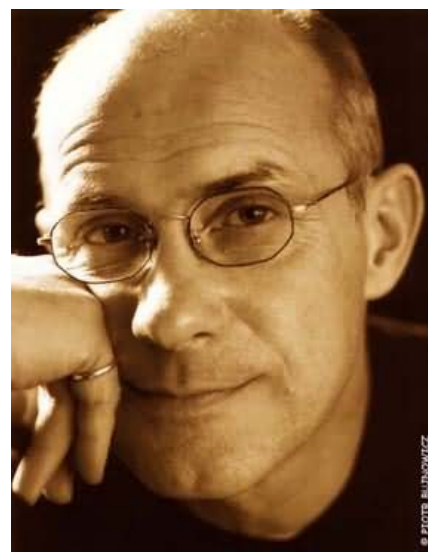
4 listopada w tymże teatrze odbywał się spektakl, a właściwie koncert, którego, jak się okazało, celem było przybliżenie nam życia, twórczości i możliwych emocji niezwykłego poety – samobójcy Edwarda Stachury. Pomyśłodawcą całości i kreacją Michała Kątnego zajął się Robert Dorosławski, śpiewem – jak wskazuje tytuł – Piotr Machalica. Koncert nie mógł się jednak odbyć bez muzyki Jerzego Satanowskiego, aranżacji, kierownictwa muzycznego i świetnej gry na kontrabasie Marcina Lamcha. Na scenie pojawiło się też dwóch gitarzystów: Dariusz Befeltowski i Krzysztof Niedźwiecki., scenografią zajął się Stach Kulczyk.

Szczerze powiedziawszy, jadąc na ten właśnie koncert, nie do końca wiedziałam, czego się spodziewać. Nie miałam pojęcia jak można

„ugryźć” ten temat, by nie stracił on na wartości, ale jednocześnie nie charakteryzował się zbędnym w tej sytuacji patosem.

Przejdźmy jednak do meritum. O godzinie bodajże 18:3 rozpoczęło się całe widowisko. Przyglądając się widzowi, nie trudno było się zorientować, że grupa z naszej szkoły to najmłodsza publiczność wieczoru co wprawiło mnie w dziwny nastrój a nawet zakłopotanie. Wtedy właśnie zgasły światła, a na scenie pojawili się wykonawcy (sprawcy) całej sztuki. Scena rozjaśniona przygaszonymi światłami, różnej barwy, dwa stoliki, szafka z kieliszkami. Całość wytworzyła kameralną, rącz intymną atmosferę. Zabrzmiały głosy, zaczęto grać. Na jeden z pierwszych utworów wybrano „Czy warto”, kolejnymi były niegdyś kultowe piosenki „Życie to nie teatr”, „Tango triste”, „Biała lokomotywa”. W przerwach między mistrzowskimi wykonaniami Piotra Machalicy, przybliżano nam losy Edwarda Stachury. Starano się pokazać, jakim był człowiekiem, jak żył,

jak tworzył, co go spotkało i co to zmieniło. Koncert był wręcz naszpikowany różnorodnymi emocjami. Wykonawcy raz budzili w nas najgłębsze pokłady emocji, zdolności do przemyśleń, innym razem bawili. Chociażby wtedy, gdy przytoczony został utwór, pt. „Kropka nad Ipsylohem”. I prawdę mówiąc, do głowy by mi nie przyszło, że można wymyślić tego typu sformułowania (wyzwiska). Pozwolę sobie przytoczyć kilka z nich: ty burżuazjo rumiany, ty mrowkolwie plamistoskrzydły, ty kawale chama w odcieniu yellow Bahama – i inne. Wrażenie robiła również świetna recytacja Roberta Dorosław-





skiego.

Głos, ton, mimika, gesty – wszystko wydawało się tak naturalne, że trudno uwierzyć w wyreżyserowanie tego spektaklu. Gra aktorska, oprawa

muzyczna, odgrywające nie-zwykłą rolę w tworzeniu nie-powtarzalnej atmosfery oświetlenie i scenografia sprawiły, że chciało się tam być, patrzeć, słuchać i przeżywać każdy najmniejszy szczegół. Chciało się

wytropić każdą drobnostkę po to, by lepiej zrozumieć poezję i samego, według mnie fenomenalnego, Edwarda Stachurę.

Kinga Langiewicz

## Machalica. Głos drugi

„Piotr Machalica śpiewa piosenki Edwarda Stachury” – energetyzujący, pełen prawdziwych emocji koncert w wykonaniu Piotra Machalicy do muzyki Jerzego Satanowskiego. Tak sobie myślę, że wielu z nas, nastolatków, nie ma bladego pojęcia, kim są ci dwaj panowie. Może więc zaczęną od przedstawienia ich?

Piotr Machalica jest to powszechnie znany i ceniony polski aktor filmowy i teatralny. Syn aktora Henryka Machalicy, brat, także aktora, Aleksandra Machalicy. Wykształcenie zdobył w warszawskiej PWST, którą ukończył w 1981 roku (zdawał tam tylko dlatego, że nie chciał trafić do wojska). Zagrał już w 22 sztukach teatralnych. Jest cenionym wykonawcą piosenki aktorskiej (m. in. nagrodzony na festiwalu piosenki w Opolu w 1986). Na ekranie zadebiutował w 1979 r. Znany jest m.in. z filmów „Złoto dezertera”, „Dzień Świra” (ostatnio rozpoznanym w świecie nastolatków), „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” oraz „Mała wielka miłość”.

Już na początku wystę-

pu przytoczone zostały słowa samego Edwarda Stachury, który „mówi” ustami wcielającego się w niego aktora: „Urodziłem się 18 sierpnia 1937 roku w Pont-de Cheuy we Francji. Dzieciństwo miałem spokojne i piękne. Kiedy miałem siedem lat, śniło mi się, że posiadam zdolności lotu. Kiedy miałem jedenaście lat, rodzice doszli do wniosku, że należy opuścić słodką Francję i powrócić do jeszcze słodszej Polski. Nie rozumiałem wtedy jeszcze słowa nostalgia. Teraz dopiero rozumiem, ile smutku się w nim zawiera. Osiedliliśmy się w ponurym miasteczku, Aleksandrowie Kujawskim. Tutaj skończyłem szkołę podstawową. Ponieważ wykazywałem wysokie zdolności, oddano mnie do Gimnazjum w Ciechocinku, ażeby zrobić ze mnie inżyniera lub doktora. Po trzech latach przeniosłem się do Liceum Ogólnokształcącego w Gdyni, które ukończyłem i gdzie do tej pory otoczony jestem legendą, jak wyczytałem w tamtejszej szkolnej gazecie. Mając czternaście lat opuściłem dom rodzinny. *Pojąłem się z mgły i jeszcze pojąłem że mgła nie dusi swoich lecz nosi-*

*jak żagle fenickie fenickich żeglarzy...*

Edward Stachura popełnił samobójstwo w lipcu 1979 roku.

Spektakl miał na celu przypomnienie dawnych popularnych tekstów. Uważam, że spełnił swoje zadanie, ponieważ można było zauważyć, że publiczność dobrze się bawiła. Szczerze powiedziawszy, osobiście nie przygotowałam się do niego. Kompletnie nie miałam pojęcia, czego mogę się spodziewać. Jednak kiedy usiadłam, na scenie zajaśniała lampka, a dwie gitary wraz z kontrabasem zaczęły wygrywać melodię, moja noga zaczęła przytupywać, a w głowie usłyszałam głosik – skup się. No to się skupiłam. Gdy usłyszałam w/w wstęp plus jeden z wierszy, usiadłam wygodniej na krześle i pomyślałam, że nieźle się zapowiada. Po chwili p. Piotr wszedł na scenę i zaczął śpiewać. Nie mam zarzutów ani co do piosenki, ani do jego barwy głosu, która zresztą jest fenomenalna, gdyż jestem zwolenniczką głębokiego basu, jednakże nie podobało mi się to, że aktor nie wczuł się w to, co śpiewał. Nie chodzi o to, że



miał skakać po scenie, nie. Ale miałam wrażenie, jak gdyby uczucia były poza nim. Czuło się je, były gdzieś w pobliżu, ale to nie było to... No nic. Na szczęście, była to jedna z pierwszych piosenek, więc nadzieja na to, że będzie lepiej, wciąż istniała ;) „Przechodząc” przez młode, buntownicze lata Stachury, dotarliśmy do tematu miłości. No i ten temat był interesujący. No bo kto nie chciałby słuchać o jej wzlotach i upadkach w tak pięknie ujętych słowach? Stachura miał dość niekonwencjonalny tok pisania. Nie lubił mówić wprost, był outsiderem – czuje się to w jego utworach.

Spektakl był miły dla oka i ucha. Nie wniósł do mojego życia rewolucyjnych zmian, nie pragnęłam słuchać jego piosenek dniami i nocami. Ale miłe wspomnienie będzie. Chociaż... były chyba trzy piosenki, które mi się bardzo podobały: „Tango triste”, „Życie to nie teatr” i... tytułu trzeciej nie pamiętam. Niestety w Internecie nigdzie nie można znaleźć

wykonania Machalicy, a szkoda, ponieważ było czego słuchać. Scena „żyła”. Przy piosence „Życie to nie teatr” siedziałam jak zaczarowana i nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. To wykonanie było genialne! Do tej pory, gdy sobie przypomnę, mam dreszcze... ;) (w necie polecam wykonanie Marka Gałązki – skrzypki oddają nastrój i Jacka Różańskiego – ten głos bardziej mi odpowiada).

Było również kilka wierszy, które zachwyciły, bawiły, zmuszały do refleksji. Naszej grupie chyba najbardziej spodobał się wiersz „Kropka nad Ipsilonem”. Już następnego dnia wędrowała kartka z wydrukowanym tekstem i podkreślonymi kawałkami – w zależności co komu przypadło do gustu. Zamieszczam go, więc będziecie wiedzieli, dlaczego był tak rozchwytywany ;) Doskonale wypowiedziany, dykcja dosłownie zwała mnie z nóg. To tempo, styl, głos. Tyle emocji w jednym wierszu, tak znane słowa wypowiedziane w sposób prosty, sposób, w jaki nikt nawet by się nie spodziewał, że tak można.

Z koncertu wyszłam zadowolona. Oprawa muzyczna bardzo mi się podobała. Po wysłuchaniu w mojej głowie wszystkich za i przeciw wyszło na plus. Cieszę się, że miałam okazję poznać twórczość Edwarda Stachury. Zachęcam do wysłuchania piosenek i przeczytania kilku wierszy. Naprawdę warto.

A na koniec coś dla rozrywki. Spróbujcie przeczytać to na głos, normalnym tempem.

### Kropka nad Ypsilonem

[...]  
ryczy schemat

lola na to  
jak na lato  
po wstążeczce po zwroteczce  
po troszeczku po trochejku  
ściąga z siebie strój-poemat

równy cześnie stripti suje  
równy grzecznie recy tuje:

ty świński ryju, ty świński ogo-  
nie, ty świńska nóżko,  
ty golonko, ty fałdo, ty gruba-  
sie, ty pyzo, ty klucho,  
ty kicho, ty pulpecie, ty żłobie,  
ty gnomie, ty glisto,  
ty cetyńcu, ty zarazo pełzako-  
wa, ty gadzie, ty jadzie,  
ty ospo, dyfteroidzie, ty paso-  
życie, ty trutniu,  
ty trądzie, ty swądzie, ty hieno,  
ty szakału, ty kanalio,  
ty katakumbo, ty hekatombo,  
ty przykry typie, ty koszmar-  
ku,  
ty bufonie, ty farmazonie, ty  
kameleonie, ty chorągiewko  
na dachu, ty taki nie taki, ty ni  
w pięć ni w dziewięć ni  
w dziesięćnaście, ty smutasio,  
ty jaglico, ty zaćmo, ty kapra-  
we  
oczko, ty zezowate oczko, ty  
kapusiu, ty wiraszko, ty ślipku,  
ty szpiclu, ty hyclu, ty przykry  
typie, ty kicie, ty kleju,  
ty gumozo, ty gutaperko, ty  
kalafonio, ty wazelino, ty glice-  
ryno,  
ty lokaju, ty lizusie, ty smocz-  
ku, ty klakierze, ty pozerze,  
ty picerze, ty picusiu, ty lalu-  
siu, ty kabotynie,  
ty luju pasiaty, ty kowboju na  
garbatym koniu, ty klocu,  
ty młocie, ty piło, ty szprycho,  
ty graco, ty ruo nieprzeczysz-  
czona,  
ty zadro, ty drapaku, ty drucie,  
ty draniu, ty przykry typie,  
ty kapitalisto, ty neokolonial-  
isto, ty burżuju rumiany,  
ty karierowiczu, ty groszoro-

## Recenzje/Sylwetki

bie, ty mikrobie, ty gronkowcu, ty kieszonkowcu, ty gonokoku, ty luesie, ty purchawko, ty nogawko, ty mitomanie, ty narkomanie, ty kinomanie, ty grabarzu, ty bakcyli, ty nekrofilu, ty sromotniku bezwstydnym, ty seksualnie, ty bajzeltato, ty szmato, ty scholastyku, ty kiwnięty dziecięciole, ty strzaskana rzepo, ty współczesna ruino, ty rufo nieprzećiętna, ty klapo, ty gilotyno, ty szubienico, ty przykry typie, ty szlafmyco, ty pomponie, ty kutafonie, ty pomyjo, ty knocie, ty gnioście, ty gnoju, ty playboyu, **ty modny przeboju, ty astamiano, ty moja droga ja cię wcale nie kocham, ty omamie blue, ty onanio, ty kurza melodio, ty zdarta płyto**, ty trelewizjo, ty lelemencie, ty dupku żołądny, ty bycie zbędny, ty podwiązko, ty klawiszu, ty kołtunie, ty larwo, ty kleszczu, ty mszyco, ty szkodliwa naliścico, ty korniku zrosłozębny, ty korniku bruzdkowany, ty koński bąku, ty końska pijawko, ty szulerze, ty gangsterze, ty rabusiu, ty morderco, ty przykry typie, ty nygusie, ty bumelancie, ty akselbancie, ty kurdebalansie, ty kurdemolu, ty zębolu, ty szczerbolu, ty rybo dwudyszna, ty wypukła flądno, ty śnięty

halibucie, ty śmierdzący skunksie, ty moreno denna, ty mule epoki, ty zuku, ty kwadratowe jajco, ty artysto, ty przywaciarzu, ty intelektualisto badylarzu, ty talencie na zakręcie, ty geniuszu z przymusu, ty wajszwancu od awansu, **ty awangardo ariegardy**, ty tabako w rogu, ty neptku, ty nadrachu, ty meneliku, ty sedesie z bakelitu, ty koterio, ty komitywo, ty kombinacjo, ty machinacjo, ty metodo kupiecka, ty dolary i piernaty, ty a dalejże ty w szmaty, ty lichwiarzu, ty wekslu, ty kwiecie, ty kleksie, ty pecie, ty bzdecie, ty przykry typie, ty makięto, ty tapęto, ty tandęto, ty torbo, ty torbielu, ty drągu w dziejowym przeciagu, ty kiju, ty kij ci w oko, ty hak ci w smak, ty nogo, ty fujaro, ty klarnećcie, ty bidećcie, ty kiblu, ty biegunko, ty kałmasznawardze, ty flujo, ty szujo, ty fafulo, ty muchoplujko ze złotym zębem, ty mrowkolwie plamistoskrzydły, ty kawale chama w odcieniu yellow bahama, ty palcu w nosie, ty baboku, ty obiboku, ty bago, ty zgago, ty dzwonie bez serca, ty emalio z nocnika, ty czarnodupcu, ty kolcogłówku, ty capie, ty bucu, ty wawrzonie, ty luluchu, ty patafianie, ty palancie, ty palantówo, ty szajbusie, ty aparycjonisto, ty kulturysto, ty żigolaku, ty

łajdaku, ty chechłaku, ty lebiego, ty alfonsie i omęgo, ty przykry typie, ty konwenujący kołnierzyku, ty zerowokątny czytelniku, ty literacki żywociku, ty kawiarńio, ty rupieciarnio, ty trupieciarnio, ty chałturo, ty paprochu, ty farfoclu, ty chęcho, ty chachmęćcie, ty **chebdo, ty chwaśćcie, ty mydłku, ty mizdrzaku, ty wyskrobku**, ty cycku, ty sikawo, ty siuśmajtku, ty zgniłku, ty padalcu, ty zaropialcu, ty przykry typie, ty lilio w kibici łamana, ty prostowaczu banana, ty wycięśnięta cytryno, ty kotlećcie sponiewierany, ty zapluty kabanosie, ty zapity kurduplu, ty zmęczone jagodo, ty wczasowa przygodo, ty pipo grochowa, ty zapchany gwizdku, **ty pięć minut za krzakiem rozmarynu,** **ty niedokończona iluzjo, ty zacięgnięta żaluzjo**, ty zardrostko, ty zawistniku, ty arszenuku, ty ciemna maszynerio, ty sztuczny kwiatku, ty krostęto, ty przyszczęto, ty wężrze, ty zachciewajko, ty kurzajko, ty pluskwo, ty mędo, ty mędoweszko, ty przykry typie, ty złap mnie za pukiel, ty wskocz mi na kant, ty narób mi wkóło pióra, ty mów mi wuju, ty masz na loda, ty nie śpiewaj nie mam drobnych, ty kandy-

dacie do nogi, ty kto ci ręce  
rozbujał,  
ty zniknij systemem bezszme-  
rowym, ty ciągnij smuge, ty  
spadaj,

ty zjeżdżaj, ty spieprzaj, ty  
stleń się, ty spłyn z lodami,  
ty giń, dzyń, dzyń,  
dzyń.....  
[...]

Łucja Białorucka

## Wielkie mechy w okowach formy

Zabawne, jak hermetyczny jest nasz europejski sposób postrzegania świata. Goliźna w filmie, znaczy dla dorosłych. Horror, znaczy muszą być zwały zwłok. Film animowany? Obowiązkowo dla dzieci. Tymczasem tacy Japończycy... hm. Goliźny nie równają z erotyzmem (i chwała im za to). Ich horrory składają się najczęściej z długich, powolnych ujęć i dialogów, a straszą bardziej niż wszystkie „Piły”. A w ich anime stawia się pytania, jakby żywcem wzięte z traktatów filozoficznych Schopenhauera, Nietzschego czy też Kierkegarda – choćby taki Neon Genesis Evangelion.

Z pozoru typowa napażanka, z banalną fabułą – w 2000 roku na Antarktydzie ekspedycja naukowa odkopuje obcy organizm o niezwyklej sile – pierwszego Anioła, nazywanego Adamem. Próba kontaktu kończy się „małym” wybuchem, który oprócz zniszczenia kontynentu zaburza nieco klimat Ziemi, wybija połowę ludzkiej populacji i powoduje zalanie większości globu. Tough luck, jak to mówią Brytole.

Akcja rozgrywa się w

2015, kiedy to Anioły wracają – nie wiadomo skąd, jak, po co. By zapobiec kolejnej (i prawdopodobnie ostatniej już) katastrofie, ludzie tworzą Evangeliony – 50 metrowe bioroboty do walki z Aniołami. Pilotować je mogą jedynie osoby urodzone po incydencie na Antarktydzie.

Niezachęające. Ale serial, choć przez kilka pierwszych odcinków wydaje się jakąś wariacją nt. Dragon Balla czy Power Rangers, szybko zmienia postać. Zamiast walk (które, na stronie, są zawsze genialnie zrealizowane – do sprawdzenia na youtube;) ) najbardziej w NGE liczą się postaci, ich komunikacja i dialogi – a w osobie trójki głównych pilotów twórcy zdołali przedstawić największe dylematy człowieka XXI wieku, zostawionego bez przewodnika w świecie metalu i maszyn.

Sam konflikt z Aniołami to już inne zagadnienie. Stopniowe odkrywanie przez główne postaci natury tych stworzeń oraz prawdy na temat innych Evangelionów stawia kolejne, coraz trudniejsze pytania...

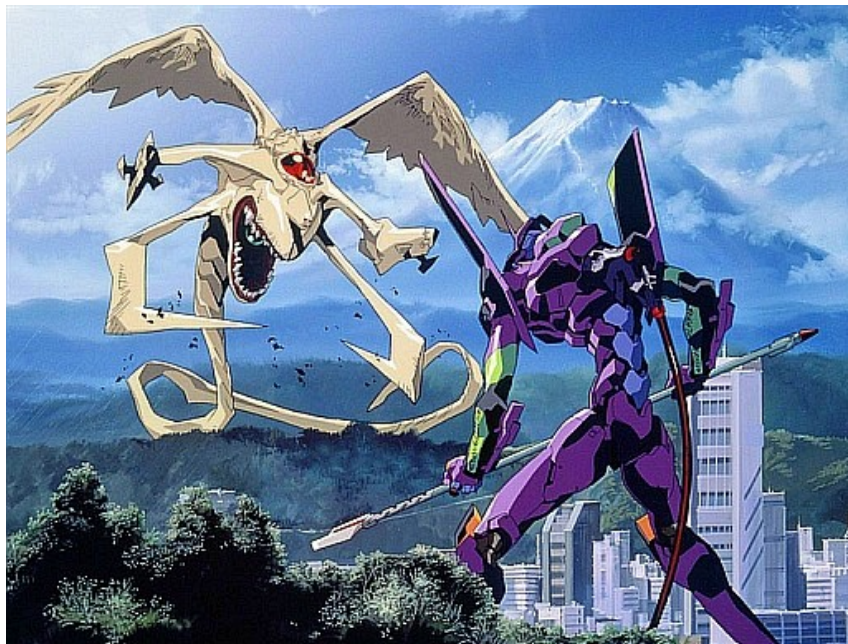
Gdzie jest granica mię-

dzy tworzeniem czegoś a zabawą w Boga? Czy istnieją rzeczy, których ludzie nie powinni poznać, nie mówiąc o zabawie nimi? Czy ludzie są czymś więcej, niż tylko zabawkami Boga, porzuconymi na pustej szachownicy? Czy mają prawo rządzić tym światem? Co definiuje człowieka? Dusza? Jeśli tak, skąd ona pochodzi? Czy istnieją ludzie, którzy „nie są ludźmi”, nie mają duszy? „Czym” jest człowiek – osobą, którą widzi on sam, czy osobą taką, jaką postrzegają ją inni? Ile można poświęcić dla ogółu? I czy ogół, dla którego poświęca się tysiące istnień, na to zasługuje?

I wiele, wiele innych. Łapiecie klimat?

O naturze NGE najlepiej świadczy fakt, iż po kilkunastu latach od premiery fani ciągle spierają się, co tak naprawdę zdarzyło się w dwóch ostatnich odcinkach. Z kolei Fansite’y poświęcone serialowi zamiast dziecinnyim sporom o wielkość robotów czy walki (cześć, fani Dragon Balla:P) skupiają się na analizach postaci, symboli, zdarzeń pod kątem najróżniejszych filozofii – w czym przoduje evamon-





key.com. Słowem, dla wielu osób na całym świecie, NGE stał się czymś więcej niż anime – traktatem filozoficznym, tym – jedynym-filmem-w-życiu, może nawet przeżyciem duchowym.

Popełniłem ten artykuł

jednak nie po to by, rozpisywać się o „japońskich robotach”. Jestem realistą jeszcze na tyle, by wiedzieć, że za dużej ilości osób to nie grzeje. Niezależnie od tego, co tu na temat Evangeliona napiszę.

Mam inne pytanie –

zważywszy na istotę pytań stawianych w Evangelionie, jaki by on miał przekaz jako „zwykły” czy też bardziej europejski film? Jak duży miałby wpływ na życie ludzi, którzy by go wówczas obejrzeni, czy mówilby nam to samo? Albo jako książka? Bez fioletowych 50 metrowych mechów i „wielkookich” panien?

W skrócie, jakby powiedziała to jedna z sorek, czy ważniejsza jest treść, czy forma, w jakiej jest ona podana?

Zostawiam więc Czytelników w zadumie (pff, aha) i lecę jeszcze raz obejrzeć kinówkę End of Evangelion i ostatnią walkę Asuki.

*Szymon Zwieriew*



## Bastion

Bastion, hmm.. Książką najkrótszą nie jest. Postanowiłem się zmierzyć z tym molochem podczas wakacji. Walkę, jakkolwiek zażarta by nie była, zdołałem wygrać. Nie powiem, że bez korzyści (o tym w późniejszej części tekstu), ale negatywy też jakieś były. Mieliście kiedyś tak, że po przeczytaniu, no powiedzmy długawej książki, odechciewało Wam się czytać na jakiś dłuższy czas? Ta-aaak, właśnie to mnie spotkało. Niektórzy by się cieszyli, ja ubolewałem – straciłem jedno z nielicznych zajęć wakacyjnych. No cóż, jak widać nawet za przeczytanie książki trzeba płacić.

Ale może przejdźmy do meritum. „Bastion”. Skrzydełka okładki nie są do końca przekonywujące: postapokaliptyczny świat, walka dobra ze złem..., ale nie dajcie się zrazić. Jakkolwiek sztampowa by się nie wydawała fabuła, wszyscy przecież wiemy, że King intryguować i zaciekawiać potrafi – nawet z czegoś takiego potrafi zrobić superpowieść (z tego stwierdzenia aż wypływa uwielbienie, nieprawdaż?).

Zabierałem się do tej książki powoli, mówiąc sobie: „masz całe wakacje, gdzie się tak spieszysz”. Czytając najpierw po parę, później po parnaście, a jeszcze później po parędziesiąt stron coraz bardziej „wkłęcałem się” w klimat (mam nadzieję, że zauważyli-

ście tzw. gradację wyrażającą wzrost zaciekawienia książką – to efekt uboczny zbyt mocnej nauki języka polskiego [nie sądzę – przyp. nauczyciela tegoż przedmiotu;])).

Zaczyna się dosyć niemrawo. Coś się wylewa, ktoś skądś ucieka, gdzieś na jakiejś stacji następuje wypadek i wymiera 90 % ludzi na świecie. Akcja pędzi z szybkością światła tak naprawdę to nieprawda – dzieje się to na jakichś 400 stronach z 1200 dostępnych). Obeznany już trochę ze stylem pisania Kinga nie byłem zbyt zaskoczony – powoli budowana fabuła, wielowątkowa akcja – to aspekty, na które możecie się przygotować, zabierając się za te grubsze pozycje pana Króla.

Co do wielowątkowej akcji. Pierwsze wydarzenia rozgrywają się na tle paru tygodni. Zajmuje to w tak niewymiernie dużą ilość stron, ponieważ King opisuje na nich historię kilkunastu zupełnie niezależnych od siebie postaci, których losy zwiążą się dopiero później.

A jak realizuje się motyw apokalipsy?: nie ma żadnych trąb, jeźdźców apokalipsy, niewytłumaczalnych zdarzeń – jest tylko jedna mała rzecz: praktycznie nieuleczalny, nowy szczep wirusa grypy. Wydostaje się on z biologicznego laboratorium wojskowego.

Żołnierze i lekarze tam stacjonujący nie dopełnili swoich obowiązków, nie poddali się kwarantannie i wirus wydostał się na zewnątrz. Od tego momentu ludziom na ziemi zostaje tylko jakiś miesiąc życia. Jedynie nieliczni są uodpornieni na nową chorobę – Kapitana Tripsa.

Ta garstka ludzi (bo jest to jedynie niewielki odsetek) łączy się w dwie antagonistyczne grupy i... więcej fabuły zdradzać bym nie chciał. Każdy, kto lubi czytać Kinga, powinien się sam zabrać do tej powieści.

W tym momencie widać natomiast zafascynowanie pana Króla hierarchizacją społeczności i układem stosunków wynikających ze wspólnych działań ludzi. Autor łączy pozostałych przy życiu w różne grupy: jedni uzurpują sobie władzę i rządzą innymi, drudzy tworzą podklasy i pieczołowicie wykonują rozkazy rządzącej grupy. Pokazuje to, że w każdym społeczeństwie jest/wytworzy się zawsze grupa rządząca i jej poddani – zawsze ktoś podporządkuje sobie kogoś. W nowych społeczeństwach utworzonych po zagładzie znajdują się też i zdrajcy, szpiegowie itp. itd. Wymieniać można by długo.

Mówiłem, że coś z tej książki wyniosłem. Tak, to prawda. King pokazuje tutaj



pewne stosunki międzyludzkie, mówi, że gdy dobermanie się czwórka przypadkowych osób, to już będą mogli stworzyć społeczeństwo i udowodnia to potem w książce. Jakkolwiek byśmy się nie starali, i tak wynikną z tego jakieś konflikty – najpierw mniejsze, potem większe. Bawi się trochę w socjologa, ale, przynajmniej według mnie, mówi prawdę. Pokazuje ułomności ludzi, ich najważniejsze wady. Jeśli będziemy się nawzajem wyniszczać, nigdy nie dojdziemy do ideału (mówię tutaj o społeczeństwie)

Teraz druga kwestia. King zafascynowany jest również przewidywalnością, powtarzalnością życia. Widać to zarówno w „Bastionie”, jak i cyklu „Mroczna Wieża” (widać to też w „Pod Kopułą”, ale o tym za chwilę). Wszystko tak naprawdę jest spisane, ludzie postępują według pewnych

schematów podsuniętych przez jakąś wyższą moc. Nawet jeśli nie jesteśmy tego świadomi, coś kieruje naszym życiem. Co do powtarzalności życia – zatacza ono po prostu koło i tę tajemnicę pozostawię

nie do końca odkrytą.

W przedostatnim akapicie zamieszczę pewną, można powiedzieć, anegdotę. Po przeczytaniu książki zwróciłem się do sorki Domańskiej ze swoimi refleksjami. Powiedziałem jej to, co w akapicie wyżej: „Po przeczytaniu „Bastionu” dochodzę do wniosku, że King zafascynowany jest przewidywalnością życia”. W odpowiedzi dostałem: „Sorka Myszyńska mówi na ten temat to samo”. Więc ja, zadowolony, że wychwyciłem to, co powinienem, żyłem sobie dalej. Po powrocie do szkoły okazało się jednak, że sorka Myszyńska przeczytała nie tę samą, lecz inną książkę tego samego autora. Doszliśmy też do wniosku, że King książek kończyć nie umie i nie ma na zakończenia pomysłu. Bardzo ciekawe jest, że dwie książki, zgoła niepodobne i o różnej tematyce, są pisane według podobnych

schematów. Wychodzi na to, że Stephen King robi sobie z czytelników po prostu żarty i do tych samych morałów pisze po prostu różne powieści.

Reasumując. „Bastion” to książka naprawdę warta przeczytania. Mimo że długa, jej czytanie nie jest katogą, od pewnego momentu czyta się naprawdę gładko i bez względu na to, ile czasu się poświęci na powieść, nie jest się znudzonym. Jako że zakończeń pisać nie lubię, zostaną przy tym, co już mam i dopiszę tylko: Gorąco polecam!

*Krzysztof Konstantinow*

## Cień wiatru

Najwybitniejsze dzieło hiszpańskiego pisarza, Carlosa Ruiz Zafóna, dziennikarza, do-tychczas zajmującego się głównie książkami dla młodzieży. „Cień wiatru” to powieść, która zafascynowała miliony czytelników na całym świecie i przyniosła wielką sławę jej autorowi.

Początek historii ma miejsce w Barcelonie, w okresie II wojny światowej, kiedy to 10-letni Daniel wraz z ojcem podążają ulicami ogarniętego mrokiem miasta w kierunku cmentarza zapomnianych książek. Moment, w którym chłopiec przekracza próg tego tajemniczego miejsca, decyduje o nieodwracalnych zmianach w jego życiu – bowiem na cmentarzu znajdują schronienie książki nie tylko zapomniane, ale i przeklęte, a każda osoba, która się tam dostanie, ma obowiązek „zaadoptować” jedną z nich i ocalić od zapomnienia.

Cmentarz zapomnianych książek wydaje się chłopcu miejscem magicznym, mimo wychowywania się u boku ojca – antykwariusza, setki ciemnych alejek ze stosami niekochanych historii wywołują u niego niewyobrażalne wrażenie. Do rąk Daniela trafia „Cień wiatru” Juliana Caraxa. Zafascynowany lekturą chłopiec pragnie dotrzeć do innych dzieł nieznanego mu dotąd autora, wpada na dziwny trop. Ktoś, przedstawiający się

imieniem diabła, z powieści Caraxa, stara się za wszelką cenę zdobyć wszystkie jego dzieła i spalić je. Chłopiec decyduje się odkryć prawdę i dotrzeć do innych zapomnianych książek Caraxa. Wraz z biegiem tej historii bohater dorasta, dociera do ludzi, którzy znali jego mistrza i powoli rekonstruuje życiorys autora, którego dzieło odmieniło jego życie.

Życie głównego bohatera w pewien sposób miesza się i łączy z historią postaci opisywanych w książce. Realia i fikcja przeplatają się. A sama powieść Zafóna zawiera w sobie kilka elementów gatunków literackich. Oprócz głównego wątku dramatycznych poszukiwań, jest zarówno motyw humorystyczny, jak i obyczajowy, gdy poznajemy okres dojrzewania Daniela i jego zauroczenie płcią przeciwną. Motyw kobiety w tym dziele jest najprawdopodobniej nawiązaniem do ukochanych przez autora książek dla młodzieży. Oprócz kryminalnej przygody, czytelnicy poznają codzienną rzeczywistość Barcelony przepełnionej magią. Czytając „Cień wiatru” bardzo trudno oprzeć się zauroczeniu miastem, miastem osnutym ciemną historią książek, które odmieniają świat.

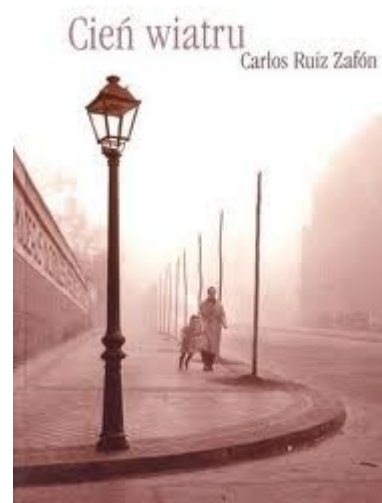
Autor między słowami tej historii zadaje nam pytanie: jak wiele znaczą książki – dla

nas? Czy są one jedynie urozmaiceniem codziennego życia, czy też jego nieodłączną częścią... Pisz:

*„Niewiele jest rzeczy tak nieodwracalnie zostawiających ślad na czytelniku, jak pierwsza książka, której udaje się odnaleźć drogę do jego serca”.*

Sprawdź, czy przypadkiem właśnie „Cień wiatru” nie jest tą jedyną. Moje życie odmieniła na zawsze.

Karolina Zielińska





## Pasja

W ostatnim czasie mam wątpliwą przyjemność bycia jednostką narażoną na stosunkowo silny proces indoktrynacji przeprowadzany przez prężniejsze towarzyszące mi podmioty. Dodatkowo ma u mnie miejsce ideologiczny i religijny mieszmasz, który jest wynikiem długotrwałego zainteresowania przede wszystkim kulturami Dalekiego Wschodu. Jednak piszę o tym dlatego, że sytuacja, która za chwilę będzie miała miejsce, jest, paradoksalnie, dosyć zabawna. Mam teraz zamiar wyrazić swoje zdanie na temat filmu, którego wybór zdeterminowało tylko i wyłącznie moje lenistwo, ponieważ leżące na łóżku opakowanie z tym filmem znajdowało się najbliżej, tj. na wyciągnięcie ręki. Mianowicie mam na myśli „Pasję” w reżyserii Mela Gibsona, film bardzo kontrowersyjny, szczególnie w określonych kręgach. Co ważne, żeby dobrze zrozumieć może nie sam film, ale bardziej sposób jego produkcji, trzeba zaznaczyć, że Gibson jest katolickim tradycjonalistą (jego ojciec był sedewakantystą), co w znacznej mierze wyjaśnia występujący w filmie naturalizm (niemalże sadyzm).

Film opowiada o ostatnich dwunastu godzinach życia Jezusa (stąd tytułowa pasja) – od momentu modlitwy w



Ogrójcu, gdzie opierał się na mowom szatana, do jego śmierci na krzyżu. Zdradzony przez Judasza Iskariotę zostaje pojmany i przeniesiony do Jerozolimy, gdzie żydowscy arcykapłani z powodu licznych błuźnierstw, jakie popełnił Jezus, uznają go winnym, przez co postawiony zostaje on przed oblicze Poncjusza Piłata, który, nie dostrzegając w Chrystusie winy, pozostawia jego los w rękach tłumu, gdyż jako namiestnik prowincji nie dałby rady poskromić ewentualnego żydowskiego powstania. Ostatecznie tłum skazuje proroka na śmierć poprzez ukrzyżowanie. Jezus sam niesie swój krzyż na Golgotę, gdzie w wielkich męczarniach umiera.

Autentyczność filmu uzyskana jest przez użycie w dialogach języka łacińskiego i aramejskiego, co bardzo trafnie oddaje klimat tamtych czasów. Wydaje mi się, że jak do tej pory jest to najbardziej krwawe, ekspresyjne i naturalistyczne przedstawienie pasji w historii kina. Przesłanie dosłowne filmu jest dość jasne – uka-

zanie męczeńskiej śmierci Jezusa, ale poza tym zwrócenie uwagi na problem miłości, wiary, nadziei, czyli tego, co głosił Chrystus i czego tak brakuje nam w dzisiejszych czasach. Poza tym na pochwałę zasługuje rola Jamesa Caviezela, którego do tej pory można było kojarzyć z „Hrabiego Monte Christo” z roku 2002. Bardzo podobalo mi się też wcielenie w rolę Marii Magdaleny Monici Bellucci. Ona ma w sobie to coś, co dobrze określa przeszłość kobiety z Magdali.

*Adam Magnuszewski*

## Incepcja

To tak w skrócie. Od samego początku, do końca. Leonardo Di Caprio ma (też ostatnio) obrzydliwe szczęście do grania w filmach mocno ponadprzeciętnych.

„Incepcja” i „Wyspa Tajemnic” to filmy podobne, w których świat rzeczywisty przeplata się z tym wyimaginowanym. W „Incepcji” „najgorsze” jest to, że kiedyś się kończy. A szkoda, bo mógłbym ją oglądać w kółko i na okrągło. Podobnie zresztą jak w „Wyspie Tajemnic” – nie wiem, czy jestem mądry, że odkryłem Tajemnicę, czy głupi, że mi się nie udało. Tutaj końcówka znowu przewraca wszystko do góry nogami, przeinacza i odwraca kota ogonem jednocześnie.

Od początku. Nie za bardzo wiem, jak zabrać się za ocenę tego filmu. Całościowo – absurdalny, skomplikowany i trzeba się wysilić, żeby go zrozumieć. Nie chodzi o to, że to kino dla ambitnych. Raczej nic z tych rzeczy, chociaż z drugiej strony w każdym filmie jest coś mądrego – po prostu przekaz tych mądrości może być dla nas odpowiedni lub nie, ale nie o tym chciałem napisać. „Incepcja” zalicza się do grupy tych niewdzięczno-sprytnych filmów, które trzeba oglądać w skupieniu, bo inaczej nie poznamy ich sensu. Przegapiając szczegóły i szczególiki, zgubimy się w poplątaniu z pomie-

szaniem. Z drugiej strony – nie sposób wychycić je wszystkie. Po obejrzeniu filmu łapię się na tym, że cały czas mam więcej pytań niż odpowiedzi.

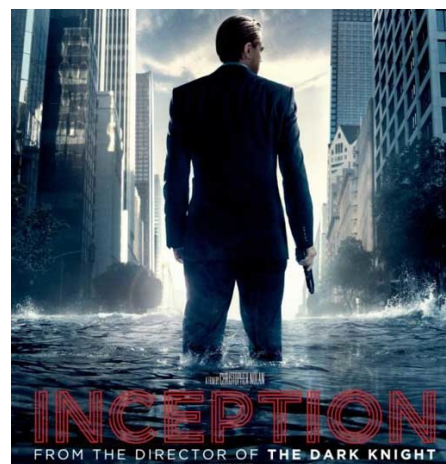
Film o śnie. Zdecydowanie ciekawy motyw, w „Incepcji” zresztą totalnie spenetrowany. W ogóle oryginalność tej prostoty jest strasznie uderzająca – czemu ja na to nie wpadłem, pomyśl na film przecieź banalnie prosty? Jak można zmienić rzeczywistość, kontrolując sny? I dalej – jak w takim wypadku odróżnić rzeczywistość od snu? Pomieszenie światów – i główkowanie widza, który z nich jest prawdziwym podobnie jak w „Wyspie Tajemnic”, absurdalność trochę jak z „Parnassusa”. Ale absurdalność tylko wtedy, kiedy ocenić całość „Incepcji”. Jej pojedyncze części są uderzająco logiczne i symboliczne. Składając się w całość – tworzą coś groteskowego, fantastycznego (tak samo surrealistycznego, jak i kapitalnego).

Dom Cobb jest złodziejem i mistrzem w wydobywaniu wartościowych sekretów ukrytych głęboko w świadomości podczas fazy snu, kiedy umysł jest najbardziej wrażliwy. Wyjątkowe umiejętności Cobba uczyniły z niego ważnego gracza w świecie szpiegostwa przemysłowego, ale i najbardziej poszukiwanego zbiega, a za swoją pozycję zapłacił utratą wszystkiego, co kocha

(oczywiście była to kobieta). Stoi przed swoim ostatnim – i najtrudniejszym – zadaniem, które jednak różni się od swoich poprzedniczek. Tym razem ma nie wykraść, a zaszczyć myśl w cudzym umyśle – dokonać zbrodni doskonałej.

„Incepcja” jest świetna. Nie da się jej do końca zrozumieć, dlatego jest na swój ciekawy sposób mocno irytująca. Po obejrzeniu i tak dalej każdy będzie zastanawiał się: Co się tak naprawdę wydarzyło? Chociaż na koniec dobrze to wiedzieć, to ciężko nie zgodzić się z tym, że jednak tajemniczość i niejasność jest dużo ciekawsza od jasności, klarowności, a rozpieszczenie wiedzą gorsze od nurtującego pytania – jak? Mistrzostwo w dopracowaniu tego filmu polega na jego pozornym niedopracowaniu właśnie.

Michał Markiewicz



## Barok

barokowo mi tak na duszy!

Widzę rozbłyśki ferie barw szał neonów  
czuję rewolucję kształtów chaosy hałasów  
gwar ulic przepotężny i ruch ciągły ruch owadzi  
wodospady zdarzeń lawiny przypadków  
iskry zostawione przez ludzi na chodniku  
i ślady ich na każdym kroku i natłok  
uciekam więc w niebieskie sklepienie  
w bezlik  
gwiazd światła pustki

i bezkresne przestrzenie

i nic za nimi

i ja

sam na chodniku

barokowo  
jakoś mi tak  
ciężko na duszy

*Szymon Zwierew*



## Głuchy

Hałas i baran siedzą mi na ramieniu

Chaos i barok

Chaber i baron

Harem i rozkrok

Rondel i odwłok

Rozejm z rymami na głuchy telefon.

Szymon Zwierew

## Płaszcz i okulary

### Rozdział I

Jest rok 1991. Jesienny wieczór w Chicago. Dla rodziny Philsów to kolejny dzień nędzy, a jednak coś się zmieniło. Coś, co miało wpływ na przyszłość ich syna, Vinca. Tego wieczoru do ich starego domu – o ile można było go nazwać domem – oświetlonego tylko przez ogień starego, dziurawego w niektórych miejscach, pieca, ojciec przyszedł bardziej pijany niż zwykle. Zaczął wrzeszczeć i bić żonę oraz dwunastoletnią córkę. Vinc schował się za rozpadającą się już ze starości sofą. Usłyszał wrzaski i jęki. Krzyczały jego matka i siostra. Był to najstraszniejszy widok, jaki widział do tej pory – ojciec pobił, a potem zabił je w okrutny nawet jak na człowieka sposób. Młody Phils uciekł i obiecał

sobie, że dopadnie ojca i zabije go w jeszcze bardziej okrutny sposób, tym samym mszcząc się za śmierć swej rodziny. Zawołał taxi i pojechał do wuja Leo mieszkającego na drugim końcu miasta. Gdy zapukał, usłyszał głos wuja: *Już idę*. Wuj spojrzął przez judasz. Vinc usłyszał dźwięk zamka. Po chwili drzwi się otworzyły i Vinc zobaczył sylwetkę prawie tę samą, jaką zapamiętał od ostatniego spotkania z wujem Leo. Wujek powiedział: *Vinc, ile to już lat nie odwiedzałeś starego wuja Leo? Wejdz proszę, nie marznijmy*. Weszli i przeszli od razu do kuchni. Wuj spytał: *Herbaty? No mów, co cię sprowadza?* Vinc nie wiedział, jak mu to powiedzieć. Był nadal trochę w szoku, ale zebrał się w sobie i opowiedział, co się stało. Wuj słuchał go z uwagą i kiwał co

chwila głową. Gdy skończył, wuj milczał przez chwilę, pocierając podbródek kciukiem. W końcu powiedział mu, że musi zostać u niego i że będzie się uczył, jak walczyć wręcz i posługiwać się każdego rodzaju bronią.

Wuj odpowiedział na jego zastrzeżenia, że Vinc zna tylko jeden świat – Chicago, a powinien go poznać lepiej, szerzej. Kazał mu iść za sobą. Przeszli przez salon. Drewniane panele na ścianach, miękkie światło, kanapa będąca również łóżkiem, dwa fotele, mała ława oraz telewizor. Doszli do schodów prowadzących do piwnicy. Zeszli na dół. Były tam tylko drzwi a za nimi piwnica. Stanęli, a wuj wyjął cegłę i wpisał jakiś kod. Vinc wiele razy był u niego, ale o tym nie

wiedział. Coś zahuczało za drzwiami do piwnicy. Leo otworzył drzwi i oczom Vinca ukazała się ogromna sala z matami, manekinami, stojakami z bronią pod ścianami, a na końcu była mała ława zupełnie inna niż ta stojąca w salonie. Światło było słabe, ale nadające pomieszczeniu dziwny klimat. Ściany pomalowane były na czerwono. Podeszli do ławy i wuj pokazał Vincowi to, co leżało na ławie. Były tam zdjęcia osoby dziwnie znajomej młodemu Philsowi – jego ojca, ale ubranego jakoś inaczej. Miał o wiele lepsze ciuchy niż te w tych, w których Vinc go zawsze widział: czarne spodnie, które wyglądały jakby były szyte na miarę, czarna skórzana kurtka i biała podkoszulka. Potem dopiero zwrócił uwagę na inne zdjęcia. Były na nich istoty, które według zdrowego rozsądku nie powinny istnieć... wilkołaki. Wielkie, umięśnione, kudłate, w większości brązowe potwory.

Stali tak przez pięć minut. W końcu wuj zaczął tłumaczyć wszystko Vincowi. Okazało się, że istnieje drugi świat Chicago. Rządzą nim gangi skorumpowanych, żądnych władzy ludzi-wilkołaków. Vinc milczał. Następnego dnia Vinc i jego wuj Leo pojechali do domu i pochowali matkę oraz siostrę młodego Philsa. Wrócili w milczeniu. W domu wuj oznajmił Vincowi, że nie będzie już chodził do szkoły. Będzie teraz trenował w Sali, którą mu wczoraj pokazał. Będzie mógł,

jeśli chce, uczyć się sam. Od tego dnia Vinc zaczął trening, który pochłaniał całe jego dni, pochłonał dziewięć lat życia...

### Rozdział II

Vince ma dwadzieścia dwa lata. Jest dobrze zbudowany, wysoki i ma jedną bliznę biegnącą po lewym policzku od oka aż do zuchwy. Zdobył ją podczas pierwszego spotkania z wilkołakiem. Od tamtego wypadku był ostrożniejszy. Przez dziewięć lat zdobył mnóstwo wiedzy na temat wilkołaków i kilku innych potworów z Chicago. Ma nadludzką siłę, ale jest teraz także niezwykle szybki i potrafił przewidywać, jaki ruch wykona przeciwnik. Był mistrzem walki zarówno bronią białą jak i palną. Ale stało się coś, co znowu zmieniło bieg jego życia. Dokładnie dziewięć lat od zamordowania jego matki i siostry jego ojciec znowu zabił jedyną bliską osobę, jaką miał... wuja Leo, który był dla niego jak przyjaciel.

Zdarzyło się to wieczorem, gdy wracali z wieczornej przebieżki. Spadł z nieba niczym gwałtowny deszcz. Odepchnął Vinca na bok i przeskoczył jakieś pięć metrów dalej. Ugiął lekko kolana, wyprostował ręce przed siebie i zgiął dwukrotnie palce u jednej ręki. Vinc rzucił się na niego z pustymi rękami. Wuj Leo nie robił nic – doszedł do wniosku, że jest za stary na walkę i schronił się za koszem. Vinc napierał na ojca całą siłą, jaką miał. Trafił go. Ojciec się trochę zachwiał, co natychmiast Vinc

wykorzystał – ukucnął, wyprostował prawą nogę i zrobił obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni. Ojciec się przewrócił, a on skoczył na niego, usiadł na nim klęcząc po bokach jego klatki i zaczął go uderzać w twarz pięściami. Był w nim taki gniew i siła, jakich jeszcze nie czuł. Głowa ojca tylko przekreślała się na boki od uderzeń. Był przekonany, że go pokonał, więc podszedł do wuja i zapytał: *Wszystko dobrze?* Wuj krzyknął do niego: *Za tobą!* Obejrzał się i zobaczył, jak ojciec biegnie z pięścią gotową do uderzenia. Ale coś było nie tak – jego ręka i twarz były inne, przypominały ciało wilkołaka. Vinc poczuł potężne uderzenie na twarzy. Poleciał do tyłu. Ojciec podszedł do niego, spojrzał pogardliwie, plunął krwią i powiedział: *Ty psie!* Kopnął go w żebra, a Vinc stracił przytomność. Gdy się obudził, ojca już nie było a jego wuj leżał na ziemi i ledwo łapał oddech. Vinc nie mógł wstać a ręka krwawiła mu nie-miłosiernie. Doczołgał się do wuja i powiedział w rozpacz: *Co on ci zrobił?! Dopadnę go i zabiję!* Wuj wymamrotał: *Nie martw się o mnie. I tak jestem już stary. Teraz wróć do domu, wejdź do sali treningowej. W moim biurku jest szuflada na kod. Wpisz 6857. Znajdziesz tam nóż, cztery pistolety, płaszcz, kapelusz, chustę na twarz i okulary. Opuść tę dzielnicę i pamiętaj o tym, czego cię uczyłem. Teraz nadszedł czas na odpoczynek.* Cisza.

Nie ma go. Odszedł. Vinc leżał przez moment, po-

tem wstał, wziął ciało wuja i poszedł do domu. Wszedł do sali treningowej, wyjął rzeczy z szuflady, wrócił do salonu po ciało wuja, wziął je na ręce i ruszył w stronę cmentarza. Na chodniku zemdlął. Ostatni obraz, jaki widział, to światła karetki. Potem obudził się w nieznanym mu miejscu...

*Filip Biesalski*



Zachęcamy Was do dzielenia się z nami Waszymi uwagami, spostrzeżeniami – możecie zrobić to albo tutaj, albo napisać na adres: [henrynews@wp.pl](mailto:henrynews@wp.pl). Zapraszamy również do przyłączenia się do Redakcji.



Mateusz Jaromir

**Autorzy tego numeru**  
(wg kolejności alfabetycznej)

**Skład/grafika:**

K. Konstantinow

**Redakcja:**

Ł. Białorucka

F. Biesalski

K. Fijałski

K. Grzelak

D. Gołębiowski

E. Kleniewska

K. Konstantinow

J. Kruszyńska

K. Langiewicz

M. Lutomirska

A. Magnuszewski

Ł. Magnuszewski

M. Markiewicz

M. Mroczkowska

A. Pałac

A. Rachobińska

J. Stolpa

R. Szymański

K. Zielińska

Sz. Zwierew

**Opieka merytoryczna:**

M. Domańska

B. Dzitowska